Nr. 45. Warszawa, dnia 5 Listopada (24 Października) 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WCZESNE ZABIEGI.

Czy reporterya watykańska i niewatykańska nazywa to krótkotrwałem omdleniem, chwilową niedyspozycyą, małym katarem, czy też inaczej, nie ulega wątpliwości, że obecny stan Leona XIII jest powolnem konaniem. Zegar życia ustaje i niedługo całkiem się zatrzyma, gdyż natura maszyny ludzkie raz tylko nakręca. Papież niezawodnie należy do organizmów zdrowych, a umiarkowaniem ochronił swoje siły od skutków nadużycia, jak mówią, zasuszył się; wszystko to jednak wystarcza tylko do pewnej granicy wieku, po za którą niemiłosierny czas przecina nić żywota. Zanik starczy dobiega w Leonie XIII do końca, którego nie odsuną zbyt daleko najmocniejsze buliony i wina.

Z tą nieuniknioną koniecznością zaczęły się już liczyć państwa interesowane, mniej myśleć o papieżu dogasającym, a więcej o jego następcy. Kto zasiądzie na stolicy apostolskiej? Ze względu na wybitnie polityczny charakter jej działań i wpływów, pytanie to jest bardzo ważne dla wszystkich rządów europejskich, zarówno co do osoby, jak co do narodowości przyszłego pasterza owczarni katolickiej. O ile wszakże zgadzają się one zupełnie w pierwszym punkcie, o tyle rozchodzą się w drugim. Z pewnością każdy z nich pragnąłby, ażeby następca Leona XIII wyszedł z „dobrowolnego więzienia,“ wyrzekł się marzeń o władzy doczesnej i państwie świeckiem, ażeby rozpoczął politykę pojednawczą, z dotychczasowego radykalizmu jezuickiego ogołoconą. Życzą sobie tego nietylko Włochy, ale także Austrya, Niemcy, Hiszpania, Anglia, nawet Francya, które dziś w stosunkach swych muszą łatać sprzeczności niepogodzone. Nadewszystko zaś pożądałaby takiego obrotu rzeczy Austrya, która musi grać fatalną rolę przyjaciółki dwu zaciętych wrogów, a nie może rozstać się z żadnym.

Całkiem inaczej przedstawia się ta sprawa ze strony narodowościowej. Nic naturalniejszego nad to, że każde państwo chciałoby mieć papieżem swojego kardynała, bo chociaż tyara ostudza uczucia patryotyczne, zawsze jednak pozostawia w sercu jakąś iskierkę, która przy sposobności sama się rozpali lub którą rozdmuchać można. Chociaż pozornie wydaje się to dziwnem, według nas najmniejszy interes powinnyby mieć Włochy w osadzeniu na tronie apostolskim swojego ziomka. Dogodziłoby to bowiem ich tradycyi i dumie, którą pomimo walk z Watykanem kryją w głębi swej duszy, ale najprawdopodobniej przeciągnęłyby dalej starą waśń. Papież-włoch, domagający się władzy świeckiej i niezależnego państewka od włochów, znajduje w części narodu sympatyę, współczucie i uznanie. Nie znalazłby ich cudzoziemiec, francuz lub niemiec, któryby żądał wykrojenia mu w Italii nawet małego „języczka“ (jak niegdyś projektowano) a tem mniej oddania w wyłączne posiadanie Rzymu. Przeciw temu oburzyłoby się wielu z tych, którzy teraz chętnie zaofiarowaliby taki dar rodakowi. Między swoim a nieswoim widzą oni zawsze różnicę, której tyara zakryć nie może.

Jakiekolwiek zresztą są plany i dążenia mocarstw europejskich, już dziś, za życia Leona XIII, przygotowują one sobie grunt, już dziś za kulisami Watykanu odbywa się zacięta gra intryg. Każde omdlenie, każde zasłabnięcie papieża wprowadza nadzwyczajny ruch do tej gry, o której niepodobna mieć wyobrażenia z widoku zatargów przy łożu bogacza konającego bez testamentu. Z żywiołami bowiem politycznymi mieszają się ambicye osobiste kandydatów, których nadzieja zajęcia wysokiego stanowiska pobudza do nadzwyczajnych wysiłków. Przedstawiciel Francyi targa sieci przedstawiciela Niemiec lub Anglii, ci znowu wzajemnie dołki mu kopią, przytem kardynał A zwalcza kardynałów B, C, D i jest przez nich wypierany. Im dłużej zaś trwa dogorywanie poprzednika, tem bardziej zaognia się walka o jego następcę. Leon XIII zaś zamiera powoli, dzień za dniem, godzina za godziną, daje więc czas zapaśnikom do rozwinięcia całej strategii.

Dziwny i wymowny to obraz! Na tronie apostolskim, na stanowisku pasterza wielkiej gminy religijnej dogorywa starzec a wokoło niego syczą i szemrzą szepty intryg całkiem świeckich, niemających nic wspólnego ani z religią, ani z tem królestwem, które Chrystus obiecywał wiernym. Gdyby św. Piotr zmartwychwstał i zobaczył ten widok, te zabiegi i matactwa, ani by przypuścił, że one odbywają się pod jego wezwaniem i w jego kościele. Ale nie probujmy zmieniać koniecznego biegu spraw ludzkich.

Rozumie się byłoby dziecinnem wróżbiarstwem wypowiadać teraz jakiekolwiek przepowiednie. Czyj wpływ okaże się najsilniejszym i czyja kandydatura zwycięzką — o tem często nie wiedzą nawet kardynałowie w dniu obioru papieża i dopiero obliczenie głosów rozwiązuje im zagadkę. To też i my zaznaczamy tylko wzmocnione zabiegi dyplomacyi świeckiej i kościelnej wobec coraz częstszych niedomagań Leona XIII-go, pozostawiając niedalekiej zapewne przyszłości rozstrzygające słowo.

ANTISEMITYZM W AUSTRYI.

I.

Liberalne dzienniki wiedeńskie nie mogąc — a w części i nie chcąc — wytłomaczyć ruchu antisemickiego w Austryi gruntownie i wyczerpująco, nazwały go krótko „chorobą wieku“ i w ten sposób załatwiwszy się z najważniejszą stroną kwestyi, przystąpiły wręcz do terapii i to znów w sposób jak najniezręczniejszy. „Dort, wo Begriffe fehlen, stellt stets ein Wort zur rechten Zeit sich ein“ *); ale gdybyśmy nawet zgodzili się na uznanie antisemityzmu za chorobę, jeszcze żądać byśmy musieli

*) Tam, gdzie brak pojęć, zjawia się w porę wyraz.

dyagnozy dokładniejszej, a przedewszystkiem zbadania przyczyn, które ową chorobę wywołały. Liberałowie jednak zadawalają się zupełnie stwierdzeniem faktu, że choroba istnieje i zabierają się do leczenia nawet nie jej samej, tylko objawów drugorzędnych, pozwalając przytem pierwotnym powodom dalej działać i coraz bardziej się rozwijać. W niniejszem *zupełnie bezstronnem* studyum pragnąłbym w miarę sił zastosować inną metodę, wykazać przedewszystkiem powody, które złożyły się na wytworzenie ruchu antisemickiego i rozgatunkować je, dalej przedstawić wszystkie jego odcienie, a wreszcie dopiero zastanowić się nad jego przyszłością.

Ruch antisemicki, który obecnie ma przeważnie cechę społeczną, rozpoczął się naprzód równolegle a nawet w związku z politycznym. Już z chwilą powstania potężnego cesarstwa niemieckiego objawił się pomiędzy niemcami w Austryi ruch wielkoniemiecki, który policyjnie gnębiony z natury rzeczy stał się rewolucyjnym. Sztandar ów wzniesiony został przedewszystkiem w tych krajach i okolicach, gdzie niemcy, będąc w mniejszości, widzieli się ciągle zagrożeni przez większość słowiańską, a więc przedewszystkiem w Czechach, na Szląsku i w słowiańskich okolicach Styryi. Najmocniej wystąpiły dążenia wielko-niemieckie pomiędzy młodzieżą akademicką w Wiedniu, Pradze i Gracu, o antisemityzmie nie było początkowo mowy. W miarę jednak, jak ruch wzrastał w siły, pisma liberalne zaczęły się nim zajmować, ale w sposób sobie właściwy, tj. wyszydzając i wydrwiwając każdy jego objaw. Wiadomo, że cała bez wyjątku prasa niemiecko-liberalna znajduje się w ręku żydów. Przyzwyczajona przez rządy centralistyczne do wszechpotężnej roli, w zaślepieniu rozumiała, że panowanie jej jest wiecznem i uzurpując sobie jedynie prawo do niemieckości, z pominięciem wszelkiej przedmiotowej polemiki lżyła w obrzydliwy sposób przeciwników, którzy nie posiadając ani jednego w dziennikarstwie organu, znosić musieli milcząco najgorsze obelgi. Stąd powstało w kołach wielko-niemieckich niesłychane rozgoryczenie przeciwko prasie żydowskiej, która zwolna zwracać się zaczęła przeciwko żydom wogóle. Studenci nie posiadali się ze złości, widząc, jak dzienniki, redagowane przez węgierskich, czeskich i polskich żydów, przywłaszczają sobie prawo reprezentowania narodu niemieckiego i bezczeszczą właściwych niemców. Wzburzenie ówczesne ujawniło się charakterystycznie w napaściach na poetów i pisarzów niemieckich pochodzenia żydowskiego, przedewszystkiem zaś w agitacyi przeciwko kultowi dla Heinego, któremu zarzucano fałszowanie ducha niemieckiego i rozkładacze tendencye żydowskie. Z pomiędzy szarej rzeszy szowinistów wnet wyróżnił się zdolnością i zapałem młody poseł do sejmu, Jerzy Schönerer, ubóstwiany przewódca studentów niemieckich. Namiętny i ambitny, bardziej od wszystkich innych odczuł obelżywe napaści prasy liberalnej i rozpoczął z nią wojnę na noże. On też pierwszy w Austryi założył pisemko z wyraźną już barwą antisemicką, ale zawsze jeszcze z zamiarem wykazywania, jak to żydzi fałszują ducha niemieckiego narodu. Związki akademickie (Burschenschafty) dopiero pod buławą Schönerera nabrały barwy politycznej. Studenci niemieccy w czasie od roku 1848 utracili byli wszelką rolę polityczną, a ich Burschenschafty, jakkolwiek nosiły jeszcze szumne nazwy, zeszły do rzędu klubów pijackich. Z dawnej wspaniałości pozostały tylko bezmyślne formułki i zwyczaje. Schönerer dopiero ożywił młodzież, zagrzewając ją do walki o czystość niemieckiego języka i zwyczajów. Jako człowiek pod względem religijnym co najmniej obojętny, wysunął na pierwszy plan rasę i rzucił klątwę nawet na wychrzczonych. Żydzi, a raczej ich prasa, ufna ciągle jeszcze w swą potęgę, obsypywała go obelgami ulicznemi i oskarżała o czyny tak potworne, że niewtajemniczeni mieli go za rodzaj wilkołaka lub potwora. Wyobraźcie sobie człowieka niesłychanej ambicyi, przytem bezinteresownego i politycznie uczciwego, w dodatku z charakterem bardzo gwałtownym, w ten sposób prześladowanego przez kilkadziesiąt dzienników żydowsko - niemieckich, a zrozumiecie, jak potęgowała się jego nienawiść i do jakich doszła rozmiarów. Niby apostoł pielgrzymujący od Burschenschaftu do Burschenschaftu, głosił walkę przeciwko żydom, w parlamencie zaś codzień przepowiadał im zagładę. Zadziwiająca była w istocie energia tego człowieka, który sam jeden stanął do zapasów z całą niemal prasą austryacką, gdyż i sławiańskie dzienniki napadały go jako narodowca niemieckiego — i cały swój czas wyłącznie tej walce poświęcał. Nietykalność poselska czyniła go tem niebezpieczniejszym przeciwnikiem, wszelkie zaś próby postawienia go przed kratkami sądowemi i pozbawienia nietykalności przez długi czas pozostawały bez skutku. Wreszcie zaszła znana wam zapewne awantura: Schönerer, oburzony podaną przez jeden z tutejszych dzienników fałszywą wiadomością o śmierci cesarza niemieckiego, wpadł ze studentami do redakcyi i poturbował redaktora. Ze zwykłej burdy zrobiono gwałt publiczny, a sąd skazał Schönerera na 4-miesięczny areszt i pozbawił go przez to mandatu. Na tej głośnej sprawie zakończył się pierwszy akt niemiecko - antisemickiego ruchu, który dziś nie zbyt wielu ma zwolenników, a w każdym razie mniej od innych kierunków tegoż rodzaju.

O wiele później od tego przeważnie politycznego ruchu rozpoczął się społeczno-antisemicki. Mieszczaństwo austryackie, a przedewszystkiem wiedeńskie, przez długi szereg lat bezmyślnie znosiło ucisk ze strony wielkiego kapitału. Brak wszelkiego ustawodawstwa przemysłowego, obok zupełnie wolnej konkurencyi i braku ochrony celnej, w Austryi bardziej, aniżeli gdziekolwiek, przyspieszał pochłonięcie rękodzieł przez wielki przemysł, drobnego handlu przez wielki kapitał. Straszliwa zgnilizna finansowa i administracyjna, pożerała drobne mieszczaństwo, które, nie widząc z nikąd obrony, coraz bardziej pogrążało się w apatyi przedśmiertnej. Stronnictwo liberalne, jak z jednej strony przywłaszczało sobie monopol niemieckości, tak z drugiej mieniło się jedynym przedstawicielem mieszczaństwa, zabijając je swoim pseudoliberalizmem na każdem polu. I tu znów prasa najgorszą odgrywała rolę. Służąc zepsuciu i wyłącznie zepsuciu, sprzedawała za misę soczewicy najżywotniejsze interesy drobnego mieszczaństwa i frymarczyła nimi zarówno na korzyść wielkiego kapitału, jak i zagranicy, która za pieniądze kupowała sobie poparcie przy zawieraniu traktatów handlowych, kartelów kolejowych itd. Wreszcie jako reakcya przeciwko tej gospodarce liberalnej tworzyć się zaczęło stronnictwo, nazwane demokratycznem. Na czele jego stanęli trzej ludzie wybitni zdolnościami: dr. Kronawetter, dr. Lueger i dr. Mandel. Pierwszy w Radzie państwa, dwaj zaś drudzy w radzie miejskiej rozpoczęli odważnie walkę z hydrą zgnilizny liberalnej. Od tej chwili rozpoczął się dla tych ludzi istny czyściec. Jak już przedtem wspomniałem, nie istniała naonczas w Wiedniu inna prasa, prócz liberalnej. Wyobraźcie więc sobie cierpienia tych, których ona dzień po dniu wyzywa od złodziejów i szubrawców i którym dzień po dniu wyrzuca najstraszliwsze zbrodnie, a którzy nie mają żadnej możności do obro-

---

24)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

(Niedziela wieczór).

Straszna zima. Co chwila ześlizguję się w rozhukane bałwany, które chcą mnie wessać i pochłonąć.

„Wola.“ Czem jest wola człowieka? Pastor Löchen mówił dzisiaj w swojem akademickiem kazaniu, że człowiek, skoro nie posiada „żywego“ centrum, rozpływa się w popędy i żądze, które się wzajem zwalczają i wtedy na falach świata pędzi niby okręt bez steru; to objaśnienie jest może najtrafniejsze.

I myśl może być ośrodkiem woli człowieka — twierdził — lecz nie całej woli, tylko mniejszej lub większej jej części. Dlatego taki „idealny“ człowiek, rozpatrywany z jednej, pojedynczej strony, może się wydawać wielkim i podziwu godnym, gdy tymczasem w stosunku do innych pozostałych punktów widzenia okazuje się szmatem rozbitego okrętu, bezbronnym łupem wiatru i fal. Tylko coś osobowego może stanowić dla duszy „centralne centrum.“

— Tak, tak, coś osobowego; kobieta albo Bóg. Wszystkie abstrakcye są martwe. Nawet głęboka filozofia buddyzmu nie starczy, gdy wola złamana. Na nic to, gdy się objaśnia kulawemu lub paralitykowi teoryę chodzenia; siłą i władzą niechaj mu kto rozkaże: „Powstań, weź twoje łoże i idź w drogę“ — oto czego mu potrzeba.

Leżę i grzęznę w tych moich nurtach, niby wstrętny pierwotniak bez centrum. Najstraszniejszem jest to, że nie przyjąłbym pomocy, gdyby mi ją nawet ofiarowano. Gdyby mi się Bóg objawił w całej swojej świetności, padłbym na kolana i straciłbym przytomność; ale potem sam rzekłbym do siebie: „halucynacya, trzeba pójść do doktora.“

* *
*

Na jawie jestem niby w pół-śnie; sen mój jest napół spazmem.

Budzę się rano jak bezwładny, poraniony, zbolały, o mózgu zapadłym, niezdolnym do zbudzenia się. Wyobrażam sobie, że to samo odczuwać musi epileptyk po napadzie. I drżąc na całem ciele zataczam się ku szafce...

Pewnego dnia padnę, tknięty apopleksyą; wiem o tem. Boję się już sam wychodzić; może to przecież nastąpić każdej chwili. Chodzę lękliwy, strwożony i zdaje mi się, że słyszę głosy... wsiadam w dorożkę, jadę i znowu wracam; człowiek, który się tam zbliża — to może morderca, a gdy droga staje się trochę samotną, zaczynam się bać woźnicy; i on przecież może nagle wpaść w furyę...

— Ów kącik w Grand'zie — to jednak schronienie najpewniejsze.

* *
*

— Za nadto pan samego siebie studyujesz — mówi Kwaale — należy się tego wystrzegać. Człowiek staje się sobie samemu zbyt zajmującym i co zatem idzie — zbyt wstrętnym, tak że w końcu dom obłąkanych o łup swój upomnieć się musi. Szukaj pan lepiej czegoś zewnętrznego i temu poświęć uwagę; dość przecież istnieje rzeczy, któremi gryźć się można!

— Tak, ale ponieważ na razie nie istnieje nic, coby mnie obchodziło, z wyjątkiem jedynego, nieszczęsnego, opłakanego, własnego *ja*...

Wzruszył ramionami.

— Przy sposobności znowu pana poślemy w góry...

— Jedź pan ze mną — prosiłem. Zdaje mi się, patrząc na pana, że sam potrzebujesz takiej wycieczki w fjordy.

ny i do oczyszczenia się. Kronawetterowi np., człowiekowi jak iza czystemu, ta sama prasa, która dziś zrobiła go swym kandydatem na posła, zarzucała wtedy lichwę, kradzież grosza publicznego, naruszenie grobu itp. Skutek był ten, że Lueger wstąpił w szeregi antisemitów, Mandel, sam żyd, nie mogąc tego uczynić, usunął się od życia publicznego, a jako przewódca bez stronnictwa pozostał demokratą jeden tylko Kronawetter. Jak przy ruchu Schönererowskim, tak i tu z antiżurnalizmu wytworzył się antisemityzm. Pomiędzy mieszczaństwem grunt do tego znakomicie był przygotowany. Rękodzielnik widział tylko coraz większe zubożenie, a nie widział przyczyn, które się na to składały. Gdyby był robotnikiem, zostałby socyalistą, jako opodatkowany obywatel nie wiedział, gdzie się podziać. Czuł, że liberałowie oszukują go, ale mdła i połowiczna demokracya również nie mogła przypaść mu do smaku, tem bardziej, że opierała się więcej na gruncie politycznym, aniżeli na ekonomicznym. Śród tych okoliczności antisemityzm, propagowany przez tak znakomitego agitatora, jak Lueger, przyszedł w samą porę. (D. c. n.).

Nie-Poseł.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Niesnaski, wywołane sprawą uwieńczenia pomnika Hentziego (o których donosił w numerze poprzednim nasz korespondent wiedeński) nie zostały załatwione i gabinet węgierski podał się do dymisyi. Jest to dalszy krok w kierunku dążeń węgierskich do wyodrębnienia się, które przy każdej sposobności zaznaczają swoją siłę i nieustającą czynność. A monarcha austryacki, jak gdyby spełniając zasadę: kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem — sypie łaski na swoich krnąbrnych poddanych. Ambasadorem w Berlinie mianował Szeghenyjego-Maricza.

Jak się okazało, *Köln. Zeitung*, która ogłosiła treść projektu rządowego w przedmiocie reformy wojskowej, wykradła go ze źródła. Posądzono kanclerza, że sam jej do tego dopomógł, ażeby wymiarkować opinię, ale gen. Caprivi zagroził gazecie procesem i zapytał o zdanie najpoważniejszych prawników. Te korowody, to roztelegrafowywane po świecie zasięgania rady wyglądają albo na niezręczną komedyę, albo na grubo niedołęztwo. Tymczasem nie rozproszyły się wcale chmury, wiszące nad tym projektem ze strony parlamentu; przeciwnie, zdaje się, że natychmiast po otworzeniu obrad zaczną spadać pioruny. Ale rząd niemiecki zapewnia, że wytrzyma te gromy, a w razie potrzeby gromowładców rozpuści i powoła naród do urny wyborczej.

Wyrok prezesa gabinetu, Loubeta, w sprawie zatargu między górnikami w Carmaux a zarządem kopalń (orzekający, iż wszystkich, z wyjątkiem skazanych, należy przyjąć i dyrektora zostawić) nie podobał się pierwszym i nie przerwał ich bezrobocia. Dopiero gdy przywódcy partyi radykalnej zapewnili, że po podjęciu na nowo robót przez wszystkich, skazani będą ułaskawieni — postanowiono wrócić do pracy. Sprawa ta ciążyła kamieniem na piersiach rządu, który teraz lżej odetchnął, gdy ją zwalił.

Pułkownik Dodds donosi z Dahomeju, że stoczył szereg zwycięzkich potyczek i zdobył ważne stanowiska. Wkrótce spodziewa on się zawładnąć stolicą króla murzyńskiego, a może przywieźć go z łupami do Paryża. Dopiero by cywilizatorowie mieli radość!

Gdy Izba zaczęła grymasić i szykanować traktat handlowy że Szwajcaryą, Loubet i jego koledzy uczuli niecierpliwość, która dość często napada ministrów francuskich i zagrozili dymisyą. P. Clemenceau, „strącacz gabinetów,“ w zasadzie nie ma nic przeciw sprawieniu nowego, ale sądzi, że obecny jeszcze mu się nie uprzykrzył, więc go prawdopodobnie na jakiś czas zatrzyma.

Coś znowu gnić zaczęło w państwie ottomańskiem. Telegraf zawiadamia krótko, że starszy lekarz sułtana, Mauroieni (?) basza został aresztowany i uwięziony w pałacu sułtańskim, a jego papiery przeszły do rąk komisyi śledczej. To wszakże krótkie doniesienie musi być echem długiej historyi. Prawdopodobnie chodzi o jakiś rzeczywisty lub urojony zamach na życie padyszacha.

Obecny gabinet ministeryalny we Włoszech otrzymał energiczne poparcie ze strony, z której go się nie spodziewał: wybitny polityk i towarzysz chorągwi Crispiego, Zanardelli, w mowie publicznej oświadczył się za tą drogą, po której idzie i prowadzi naród Giolitti. Zwłaszcza zaś położył b. minister silny nacisk na potrzebę niezmniejszania sił zbrojnych Italii. „Byłoby to szaleństwem“ — według niego.

Ostatnie doniesienia malują stan królowej rumuńskiej jako beznadziejny i niewiele pozostawiający jej życia. Wpływa to na zaślubiny następcy tronu z księżniczką edymburską, nie pozwala bowiem ściśle oznaczyć żadnego terminu.

Cholera, która wszędzie złagodniała, przestała być czynnikiem politycznym.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

F. Ribot. *Filozofia Schopenhauera*, tłom. I. K. Potocki. — A. Schopenhauer, *Sztuka prowadzenia sporów*, tłom. I. Lorentowicz. — Gurney, Myers i Padmore, *Dziwy życia*, tłom. I. K. Potocki.

Mieliśmy już sposobność zaznaczyć braki wszelkiej myśli przewodniej w wyborze książek, które są u nas tłomaczone z obcych języków na polski. Wszędzie wychodzą w przekładach przedewszystkiem dzieła najwybitniejsze, książki epokowe literatury powszechnej, następnie rzeczy odpowiadające potrzebom społeczeństwa, wreszcie takie, które potrącają o jakiekolwiek ważne zagadnienie czasu, mogące obudzić zajęcie w szerszych kołach czytelników. U nas często niepodobna zrozumieć, dla czego tę lub inną książkę przyswojono. Dla czego naprzykład ukazują się prawie jednocześnie wykład filozofii Schopenhauera i jedno z jego dziełek? Dla czego filozofia buddysty niemieckiego ukazuje się w wykładzie Ribota, a sam on osobiście przedstawia się naszej publiczności w rozprawie o sztuce prowadzenia sporów, która również mogłaby być napisana przez jakiegokolwiek scholastyka XVI stulecia, jak i przez Schopenhauera, z której najmniej właśnie poznać można indywidualność tego filozofa? Czy jego pesymizm — bo jemu zawdzięcza on spóźniony rozgłos, którego nie miał za życia — czy ta filozofia rozpaczy odpowiada usposobieniom obecnym naszego społeczeństwa? Czy stanowi pożądany dla niego pokarm umysłowy? Gdyby tłomacz był zadał sobie te dwa pytania, sądzę, że nie byłby się zatrzymał na Schopenhauerze. A może wprost chciał uzupełnić lukę w naszej literaturze filozoficznej? Ale ileż godniejszych imion ciśnie się w takim razie na pamięć! I czy nie lepiej odpowiadałby temu

---

Ze znużonym uśmiechem potrząsnął głową. Potem spoważniał i rzekł:

— Mnie chyba dłuższej potrzeba wycieczki.

Robi teraz wrażenie zmiętego, złamanego człowieka. Może i on upadł?

* * *

Od czasu do czasu zakradam się do kościoła katolickiego, podczas nieszporów, gdy zapalają światła, ukrywam się w jakimś ciemnym kącie, siedzę i tonę w dźwiękach organów i w śpiewie chórów, aż poki nie zapłaczę.

Święto Narodzenia, noc wigilijna była dla mnie zbawienia godziną. Nanowo stałem się dzieckiem; wierzyłem.

Przeklętą niechaj będzie krytyka, która wyssała z nas mlecz wiary, przeklętą—nauka, która zuchwałą dłonią eksperymentacyi plami i kala wszystko, co świętem i nietykalnem być nam winno. Długo Mefisto napróżno sił swoich próbował wobec ludu bożego. Więc przebrał się za wiedzę i zyskał wstęp do sanctuarium. I nagle małe, święte, pogodne światełko Betleemu — zagasło.

* * *

Dlaczegóż tak nieszczęśliwe mam usposobienie? Dlaczego mam tę dziurę w mózgu, tę rysę w ścianie, rysę, co otwiera widok w świat; dlaczego nie mogę „wierzyć.“

Prawda czy nie prawda — śmiertelnie to obojęne! Brak ściany w mojej duszy; cały chłód zimowy istnienia przenika do jej wnętrza, widzę wilki, skradające się tam... tam, nocą — wyją i zawodzą. Siedzę i dzwonię zębami z trwogi i zimna, modlę się do bogów, djabłów, do wiecznego błękitu i błagam o ciepłą dłoń, którą bym mógł uścisnąć, o ciepłe spojrzenie, ciepłą źrenicę, w którą bym mógł spoglądać i w której bym się mógł zanurzyć, póki strachy nocy nie miną.

— O wieczna mądrości w ustach dziecięcia! Adam był w raju; ale raj nawet stał mu się strasznym, gdyż był w nim sam. I oto stanęła przed nim kobieta, ciepła i biała, o głębokich, ciemnych oczach, które przebaczać umiały...

* * *

Rzadko spotykam teraz Jonatana. Jest zimny, uparty i płytki — bez najmniejszego pojęcia o głębiach życia.

Ilekroć się spotkamy, powstaje dysputa. Dla wszystkiego, czego nie pojmuje, ma niedokształconą niemal pogardę. I mimo swojej „dumy“ nie gardzi wcale wykrętami — używa pokątnych wybiegów, próżnego szyderstwa, śmiałych twierdzeń...

— Spirytyzm *nietylko* na śmiech zasługuje — twierdziłem; dziś obraca się jeszcze omackiem wśród niewiedzy i dzieciństw, omotany jest humbugiem; w każdym jednak razie *szuka*, a ostatecznie może on jedyny narazie ulgę daje.

Wzruszył ramionami i spojrzał na mnie:

— Za mniej niepodobna? — zapytał.

— Nie rozumiem pana?

— Ostatniemi czasy i ja myślałem o tem, aby sprawić sobie maskę *fin de siècle* — zadrwił; lecz przyznam, jeżeli żąda się szacunku dla angielskiego Cicerona...

Ten absolutny brak władzy pojmowania!

XXXVIII.

(20 marca).

Listonosz przyniósł mi list z czarną obwódką; zdało mi się, że znam pismo. Tknięty nagłym lękiem, zerwałem kopertę; podpisany — Dr. Kwaale.

Jeszcze drżę. Niepodobna mi zapanować nad tą grozą.

„Kochany Gramie! Dłużej — nie mogę. Kiedy ten list zakończę, wychylę ostatni mój kielich. Piszę, żeby się z tobą pożegnać.

„Byłoś mi bratem — w cierpieniu. Może wkrótce pójdziesz za mną. W tym razie — winszuję.

celowi przekład któregokolwiek z oryginalnych dzieł tego myśliciela?

Nie chcemy przez to powiedzieć, żeby książka Ribota była złą lub bezużyteczną. Autor jej nie jest wprawdzie oryginalnym, a najmniej — głębokim filozofem, lecz przedewszystkiem kompilatorem i popularyzatorem. To też wykład jego zdradza pewną powierzchowność i niedokładność. Nie ulega też wątpliwości, że są nierównie lepsze dzieła o Schopenhauerze *). Ale książka Ribota napisana łatwo i przystępnie, co ma niemałe znaczenie dla naszych czytelników.

W teoryi poznania Schopenhauer jest uczniem Kanta; ale zmieniając jego teoryę, zamiast rzeczy samej w sobie, w której uzasadnieniu przez Kanta widział słusznie najsłabszy punkt jego systematu, przyjmuje on wolę jako byt bezwzględny. To, co nam się ujawnia podmiotowo jako wola (pragnienie, pociąg), a co w naturze martwej nazywamy przyciąganiem, jest źródłem wszelkiej zmiany we wszechświecie, stanowi więc istotę tego świata. Taka jest metafizyka Schopenhauera. Jego fizyologia praktyczna da się streścić w dwóch głównych twierdzeniach: 1) że świat ten jest najgorszy ze wszystkich możliwych; 2) że wszelkie żądze i pragnienia są bezcelowe, gdyż osiągnięcie ich celu nie daje szczęścia. Stąd wniosek, że wszelkie usiłowania w kierunku czynu niegodne są filozofa; prawdziwego szczęścia powinien on szukać w stłumieniu woli, w zupełnym kwietyzmie. Szczęście i świętość polega na braku pragnień. Wiadomo, że Schopenhauer uważał za szczyt głupoty zajmowanie się sprawami politycznemi, a cały jego kwietyzm pesymistyczny jest wynikiem egoistycznego zamknięcia się w sobie, a zarazem odzwierciadleniem zniechęcenia do życia, charakteryzujących filozofię mieszczańską. Kto, jako cel życia, postawił użycie, podkopał grunt pod tem ostatniem. Osiągnięcie tego celu nie może zadowolić; stąd zniechęcenie i dąsy na najgorszy ze światów.

Jeśli zaś dodamy do tego rysy charakteru, które nie mogły mu pozyskać sympatyi, jak nie mogło mu zjednać słuchaczów naznaczenie przez dziwną zarozumiałość tych samych godzin, w których wykładał Hegel, zrozumiemy łatwo, że miał on dość powodów do niezadowolenia ze świata i ludzi.

*) Najnowszą, o ile mi wiadomo, niemiecką pracą w tym przedmiocie jest R. Koebera. *Die Philosophie A. Schopenhauers 1888.* Oprócz tego pisali o nim Busch i Peters.

Wykład filozofii Schopenhauera kończy Ribot kilkoma krytycznemi uwagami, które zresztą nie są ani głębokie, ani wyczerpujące. Przytem zostawił zupełnie na uboczu osobistość twórcy nowoczesnego pesymizmu, która niemało się przyczynia do wyświetlenia psychologicznych źródeł jego filozofii.

Gdyby ktoś, pragnąc poznać trochę Schopenhauera, przeczytał jego rozprawkę o sztuce prowadzenia sporów, dowiedziałby się prawie tyleż o fizyognomii umysłowej tego filozofa, ile widząc go przez okno spacerującego lub siedzącego w restauracyi, nie straciłby jednak czasu zupełnie bezużytecznie.

Zarówno tytuł, jak i wykład mają minę wysoce scholastyczną. Nie idzie tu o sztukę sumiennego użycia argumentów w sporze, ale o ich nadużycie, o przedstawienie kilkunastu wybiegów, za pomocą których można nie przekonać, lecz pokonać przeciwnika. Znaczenie jednak tych „wybiegów" polega na tem, że większa ich część należy do liczby nieświadomie popełnianych przez nas w rozumowaniu, tj. w sporze z sobą samym, a w ten sposób nauka wybiegów, jeśli ją przemienimy z zaczepnej na odporną, staje się nauką obłędów, których strzedz się winniśmy. Niektóre zresztą mają charakter czysto satyryczny; znamię to zresztą przeważa w całej broszurze, a jawnie występuje w dodatku o znaczeniu logiki i rzadkości rozsądku. Tu Schopenhauer jest sobą samym, wprawdzie nie jako filozof, ale jako człowiek.

Jeśli co do pierwszych dwu książek wolelibyśmy na ich miejscu widzieć inne, to o trzeciej z wymienionych w nagłówku powiemy szczerze, że wolelibyśmy wcale jej nie widzieć w polskim przekładzie. Jest to jedna z tych robót, które coraz liczniej się ukazują w naszej literaturze w ciągu ostatnich lat, a których same bezsensowne tytuły najeżone wyrazami: „dziwy," „tajemnice," „zagadki," świadczą o tem, na co się spekuluje przy ich wydawaniu.

Angielski tytuł dzieła brzmi: *The phantasm of the Living*; p. Potocki tłomaczył je z przekładu francuskiego. Wierzymy, że autorowie mieli uczciwy zamiar zgromadzenia materyału, dotyczącego ukazywania się widm osób żyjących lub zmarłych i o ile można sumiennego sprawdzenia faktów. Każdy jednak, kto cokolwiek się zastanawiał nad tym przedmiotem, wie, że sprawdzenie rzetelne świadectw w takich wypadkach jest zupełnie niemożliwe. Przytem są one zebrane po większej części listownie i dotyczą zdarzeń dawno minionych, a każdy wie, ile nawet w prostej pogadance przyjacielskiej skłonni jesteśmy upiększać opowiadanie, aby uczynić trochę większe wrażenie; cóż dopiero, gdy liczy się na to, że list będzie umieszczony w książce i gdy wypadek przypomina się przez pryzmat czasu! Wiarogodnymi więc w znaczeniu naukowem te fakty nie są; badaniu naukowemu poddać ich nie moglibyśmy, gdybyśmy nawet pewni ich byli. Tak dalece odbiegają od tego wszystkiego, o czem wie nauka dzisiejsza, że uczony, zarówno jak i prosty śmiertelnik, może wobec nich jedno tylko uczynić: stanąć z roztwartemi ustami i tem oddać hołd ich tajemniczości. Całym wynikiem więc książki byłoby stwierdzenie tego, że „są rzeczy na świecie, o których nie śniło się naszym mędrcom." Ależ o tem świergocą wszystkie wróble na płotach, opowiadają wszystkie kumoszki na zebraniach „pończoszkowych" i po to nie warto było pisać książki, która treścią swoją w rzeczywistości niczem się nie różni od owych opowiadań „przy pończoszkach": temu się ukazało widmo żony, tej—narzeczonego, owemu brata itd. Dość jest w jakiemkolwiek zgromadzeniu poruszyć ten temat, a każdy znajdzie kilka podobnych historyj do opowiedzenia.

W społeczeństwie jednak, w którem wyrobienie filozoficzne jest tak niewysokie; jak w naszem, wśród narodu, który i bez tego posiada skłonność do tajemniczości, książka taka, okrywająca te babskie opowiadania płaszczykiem pseudonaukowości, a naturalny popęd do zbierania ich strojąca w pawie piórka ścisłego badania, może tylko przyczynić się do rozpowszechnienia zabobonu i zupełnego zachwiania słabych głów.

Mieliśmy już sposobność zaznaczyć, że nigdzie grunt nie jest tak przyjazny dla mistycyzmu, spirytyzmu, skakania stołów i duchów o czterech wymiarach, jak tam, gdzie powierzchowny, materyalistycznie zabarwiony realizm odzwyczaił umysły od krytycznego i metodycznego myślenia i wzbudził niechęć do studyów filozoficznych. Znaczna część naszej młodzieży inteligentnej znajduje się właśnie w takich warunkach, a doświadczenie codzienne stwierdza wypowiedzianą wyżej myśl. Jest to charakterystycznem zjawiskiem, że wszystkie, o ile sobie przypominam — a przynajmniej większą część wydanych w ciągu ostatnich lat kilku książek o tych przedmiotach przetłomaczyli ludzie, uważający się za postępowo - myślących. Nie fanatycy mistycy,

---

„Trudnem jest tylko postanowienie. Z chwilą, kiedy się je powzięło, człowiek staje się pewnym i wolnym. Jest to jedyna może godzina szczęścia w mojem życiu.

„Rachunek mój—zamknięty; wszystko—w porządku. Za pół godziny troski i udręczenia świata napróżno do drzwi moich zapukają. Jan Kwaale —'wymknął się.

„Przypuszczam, że niema nieśmiertelności. Lecz gdybym żył dalej, a miał panu coś do zakomunikowania, porozumiem się z panem. Nie bój się; nie przestraszę cię. Poczekam chwili, kiedy nie będziesz zdenerwowany albo słaby, chwili, kiedy rozmowę taką znieść zdołasz. Może spotkasz pan kiedyś człowieka, którego nazwiska nie przypomnisz sobie, a zdawać ci się będzie, że go znasz; jeżeli człowiek ten rozpocznie z tobą gawędę, jeżeli powie ci rzeczy, których nie widziało żadne oko i żadne ucho nie słyszało, rzeczy, które w żadnem dotąd nie zrodziły się sercu, to człowiekiem tym jestem ja. A wtedy daruj mi spojrzenie poznania i uprzejme słowo, które zabiorę do mego dość samotnego kąta w leszym świecie.

„Bądź zdrów, Gramie! Skaal! A witaj, jeżeli pójdziesz za mną. — Szczerze ci oddany.

Jan Kwaale.

P. S. Tylko pan i lekarz, na którego dyskrecyi polegać mogę, znacie prawdę."

. . . .

* * *

Nocuję teraz zawsze w hotelu; tam są ludzie, jest towarzystwo od wieczora do rana, a w potrzebie zadzwonić mogę na lokaja. Dziwnie niedorzeczna trwoga, mózg rozmiękczony...

Gdybym znał jakiegoś hypnotyzera, poszedłbym do niego i prosiłbym, aby mi odsuggestyonował te — przywidzenia...

* * *

Niemożebne?

Dlaczego?

Przypuśćmy, że słuszność jest po stronie starej mądrości,... tej, co to panowała nad całą ziemią, aż do dziś dnia, tej, którą usiłują podnieść znowu spirytyści... i dlaczegożby mądrość ta nie miałaby być równie słuszną, jak pogląd kilku aroganckich materyalistów ostatniego wieku, ludzi, którzy na śmierć i życie starają się wygnać ducha z istnienia, skoro nie mogą go wziąć pod swój mikroskop? Przypuśćmy, że dusza jest czemś pierwotnem, wiecznem, a ciało — tylko sukienką, którą dusza przywdziewa, lub zrzuca — wedle woli... Dlaczegóżby właśnie ciało miało być tym pierwiastkiem istotnym, chore, nędzne ciało, które, jak wiemy samo w sobie nie ma trwałości, jest zbiorem komórek, złączonych przez jakąś twórczą zasadę, a gnijących i rozpadających się, gdy zasada ta działać przestaje? Śmieszna myśl, prawdziwa myśl profesorsko-laboratoryjna: ponieważ możemy widzieć wytwór, więc wytwór istnieje; a ponieważ zasady wytwarzającej widzieć nie możemy, więc zasady tej niema, mimo to że wytwór bez zasady wytwarzającej istnieć nie może!

W głębi duszy nigdy w to nie wierzyłem. W głębi duszy uważałem „śmierć" zawsze jako stan przejściowy, myślałem sobie, że dalej żyć będę, że mknąć będę z obłokami, które płyną, z wiatrami, które świszczą, że będę się posuwał od kuli ziemskiej do kuli ziemskiej i widzieć będę twarze nowe i nowe prawdy... Dusza posiada bezpośrednią pewność, że nie umrze.

* * *

Energia i świadomość, te najwyższe, najwięcej skończone formy bytu, wieżyce stworzenia, objaśnienie i *raison d'être* stworzenia — miałyby ustać, zniknąć, rozpłynąć się we wszystko i w nic, skoro najznikomszy nawet atom pyłu zniszczony być nie może? Jest to wyższy idyotyzm.

Albo ten mój biedny doktór, ten silny mąż w nędznem ciele, bogata, głęboka, sub-

nie jacyś konserwatyści filozoficzni, ale wczorajsi wielbiciele Spencerów i Lewesów przeszczepiają dziś na nasz grunt światy snów, widm, duchów o trzech i czterech wymiarach lub zupełnie bez wymiarów.

Nie radzilibyśmy też nikomu iść za nawoływaniem p. Potockiego i zbierać podobne do umieszczonych w *Dziwach życia* anegdotki; zajęcie to jest nietylko niewdzięczne, ale i nie zupełnie bezpieczne dla zdrowia umysłowego.

W. M. Kozłowski.

Z NIEMIEC.

Max Nordau.

Kiedy patrzę na gromadę ptasząt, które obsiadły krzak i świergocą, umysł mój wskrzesza mimowoli obrazy „towarzystwa“ przeszłowiekowego. Szczebiotanie w ówczesnych salonach było świergotem podobnego rodzaju: nie chodziło tu o dojście do jakiegoś wyniku, ale poruszenie odpowiednimi mięśniami stanowiło cel jedyny rozpraw salonowych. Dzisiejsze salony mieszczańskie wskrzesiły znowu dawny szczebiot, tylko że czynność tę uczyniły czemś jeszcze bezmyślniejszem. Świeże w Niemczech procesy przeciwko rozbojom, zwanym nieudałemi spekulacyami giełdowemi, wydostały na jaw całą nicość tej warstwy. W sądzie spólnicy oskarżali się nawzajem, czyniąc wszystko, ażeby siebie ocalić, a współtowarzysza rozboju rzucić na pastwę; kiedy zaś ten manewr zawodził, szlochali jak dzieci w napadzie histerycznym—z tchórzostwa. Przedewszystkiem zaś dawny szczebiot stał się suchszym, bardziej poziomym. Natomiast sztuka z nauką dostarczają przedmiotów do flirtu. Ale znowu nie działa tu chęć dowiedzenia się czegoś nowego, nie potrzeba istotnej wymiany myśli, lecz poprostu to samo pragnienie, które sprawia, że damy słuchające są ubrane według ostatniej mody, a panowie rozprawiają z ruchami powagi lub lekceważenia, powoduje także, iż flirt toczy się około przedmiotów idealnych. Jeżeli trzeba się popisać znajomością jakiejś książki, na pewno będzie to książka nowa — najświeższej mody. „Wszechwiedza jest obowiązkiem, a ponieważ zdobyć jej niepodobna, przeto blaga ratuje szczebiocących. A pod tym świergotem, w którym tylko to jest godne uwagi, co się zjawiło wczoraj lub dzisiaj, gdzie starzy bogowie są wyrzucani z pogardą krytyczną do lamusa nie dlatego, ażeby stali się głupszymi, ale dlatego, że przestali już bawić rozpaplaną gawiedź, ukrywa się krańcowy filisteryzm. Atmosfera ta stworzyła sobie mistrzów odpowiednich. Jeżeli wiek XVIII szedł za głosem filozofów, którzy nieraz bardzo mało robili sobie ze swoich zwolenników, to dzisiejsze papużki flirtujące, krytyczne wróble i pesymistyczne bociany sami lepią, na swój obraz i podobieństwo, potrzebnych sobie akrobatów myśli. Jednym z takich mistrzów tegoczesnego flirtowania filozoficznego jest Max Nordau. Jego „paradoksy“ i „kłamstwa konwencyonalne“ są wprost jakby zakrzepnięciem takiego flirtu w postaci książkowej. Z pod jego pióra ciągle płynie — nie zdrowa krytyka, która wie, czego chce i wypowiada to męzkim głosem uczonego analityka lub natchnionego apostoła, ale zabarwiona w pewien sposób paplaniną. Jego myśl trzepocze się niby mucha w zdradnej pajęczynie, a czytająca publiczność nic nie otrzymuje prócz lekcyi blagi. Wprawdzie tu i owdzie zdaje się, iż Nordau urąga bractwu filistrów; ale wszak są zarzuty i wyrzuty milsze od niezręcznych pochwał, twórca zaś paradoksów zna swoich *pappenheimerów*.

Świeżo ukazała się książka Maxa Nordaua, poświęcona rozbiorowi zwyrodnienia*). Zamiast oderwanego flirtu mamy tutaj frazeologię naukową, w której zebrano „ostatnie wyniki“ wiedzy, naturalnie nie przetrawione i podane do spożycia publiczności szczebiocącej i świergoczącej. Autor przypisał swą książkę Cezaremu Lombroso, „najdumniejszemu zjawisku duchowemu stulecia niniejszego.“ Przedmowa wypowiada zadanie dzieła. Uczony włoski i jego szkoła podjęli poszukiwania nad wszelkiego rodzaju zwyrodnieniem: prostytutkami, zbrodniarzami, duchami niespokojnymi. Atoli żaden z nich nie zajrzał do literatury i sztuki, gdzie zwyrodnienie również bujnie się rozpleniło i wydało obfite owoce. Ludzie ci występują jako szermierze przyszłości, rzecznicy nowej prawdy artystycznej, wywierając wpływ na całe pokolenie, które w ich dziełach szuka otrzeźwienia i nauki. Nordau zatem postanawia wnieść kaganek w te mroki i wykazać, czem są owi Wagnerzy, Ibseny, Tołstoje ze stanowiska psychiatrycznego. A wnosi go zaiste w sposób szczególny. W tomie pierwszym, który się już ukazał, mamy przed sobą tłum różnobarwny: pra-rafaelistów, symbolistów, czcicieli Wagnera, hr. Tołstoja. I otóż autor rozpoczyna pogoń za dowodami zwyrodnienia wśród tej rzeszy. Odbywa się to nader prosto. Ułożył z monografij lombrozistów wielki akt oskarżenia: kto ma pewien nos, kto w swoim utworze poetyckim powtarza dźwięczne wyrazy (np. „święć się, święć się wieku młody, śnie na kwiatach, śnie mój drogi“), kto pisze tak, gdzie słowa przeważają nad treścią, ten natychmiast podlega wyrokom potępienia. Przypomina to nieraz klątwy klasyków, rzucane na Mickiewicza, tylko że Osińscy nie mieli pod ręką materyału psychiatrycznego. A zatem ponieważ np. powtarzanie tych samych słów spotykamy wśród idyotów i głupców, przeto... biedny Bohdan Zaleski, tem biedniejszy, że napisał jeszcze *Świętą rodzinę*, co dowodzi w nim nadto skłonności ku mistycyzmowi. Zaznaczyć muszę, że bynajmniej nie myślę zaprzeczać słuszności bardzo wielu wywodów Nordaua. Że Verlaine jest prawdopodobnie istotą nawskroś newropatyczną, że dziwactwa symbolistów wylęgły się w mózgach histerycznych, że udana prostota pra-rafaelistów wypływa w znacznej mierze z podkładu organicznego nie zupełnie zdrowego, wszystko to jest wysoce prawdopodobnem. Zdenerwowanie stanowi rys charakterystyczny naszego wieku i musiało odbić się w malarstwie, poezyi, muzyce. Atoli postępowanie takie, jakie widzimy u Nordaua, jest wysoce zdradnem. Przedewszystkiem należałoby dowieść, że podstawy aktu oskarżenia są wiarogodne. A tymczasem wartość szkoły lombrosowskiej polega nie na tem, co udowodniła, lecz na podniecie, którą dała. Wywody jej, stale zabarwione uprzedzeniami mieszczańskiemi, a zatem mniej lub więcej przedstawiające rzeczywistość w świetle opacznem, są nadto niekiedy wielce wątpliwe. Atoli naszemu mistrzowi epoki flirtującej zdaje się, że trzyma już naukę za ostatnie słowo w tej sprawie. Frigerio np. przeprowadził badania, nader zresztą jałowe, nad uszami; okazało się, iż wśród zbrodniarzy około dwu procentów bywa więcej uszów odchylonych, niż u osób „uczciwych.“ Jest to wynik nawskroś ujemny. Ale Nordau o to nie pyta. „Nauka“ dowiodła, że zbrodniarz ma takie a takie uszy, a zatem on ich poszukuje u symbolisty. A znalazłszy, dowodzi z tryumfem, że ów pisarz jest okazem zwyrodnienia. Symboliści dążą do tego, ażeby wiersz działał na słuchacza nie treścią swoją, a...

*) Max Nordau, *Entartene*, tom I. Berlin.

---

telna dusza, ukryta w niepokaźnej powłoce, a rozpoczynająca dopiero życie...

Co mówiła Fanny? U niej było to intuicyą. *Musi* nastąpić druga część powieści! Więcej wierzę w ten dziecinny wylew bezpośredniego uczucia, aniżeli w pięćdziesięciu profesorów, którzy zaprzeczają wszystkiemu, czegokolwiek zwąchać nie mogą.

— Kochany, nieszczęśliwy druhu; dotrzymaj słowa. Wiesz przecie, że jeszcze chore mam nerwy, słaby jestem; nie chodź za mną...

* * *

Przyciągała mnie groza, której się oprzeć nie byłem w stanie; musiałem go zobaczyć. Był straszny.

Absolutnie nie do poznania. Oblicze ponure, czarne, zapadłe, źrenice galaretowate, osłupiałe, usta szeroko otwarte, nos jakby połamany, idyotyczny uśmiech trwogi, zamarły na cienkich, jak ostrze noża, sinoczarnych ustach. Duże, żółte zęby szczerzyły się zwierzęco z poza wykrzywionych warg. Na widok ten stanąłem bezwładny. Prawie że mi się słabo zrobiło; trup zaczął przede mną pływać, chwiać, kiwać się... Zerwałem się i uciekłem, jak nieprzytomny, prześladowany dziwną, wewnętrzną grozą, która objęła mnie kleszczami, podmuchem spływała po grzbiecie, szeptem wchodziła do uszu, otoczyła mnie trupią wonią, lękiem, formalnie dusiła...

Wkrótce potem znalazłem się, Bóg wie, w jaki sposób, w salonie pastora Löchen. Dostałem tu ataku nerwowego, zaalarmowałem cały dom. Posłano po lekarza domowego: młody, poważny, energiczny człowiek usiadł koło mojego łóżka i zaczął rozmawiać ze mną; uspokoiłem się i zasnąłem.

* * *

Prześladuje mnie. Ilekroć jestem sam, mam go wciąż tuż koło siebie, poza mną, niby ośrodek nerwowy w powietrzu; czuję go tak, jak czuje się źrenice, nieruchomie w plecy utkwione.

Pastor Löchen powiedział, ażebym się modlił. Czasem modlitwa pomaga, szczególnie wieczorem, gdy kładę się do łóżka; lecz we śnie, kiedy jest jasno — nie mogę; to jednak — komedya...

XXXIX.

Odprowadziłem go do grobu.

Oficyalnie zmarł na atak sercowy. Pogrzeb był bardzo piękny. Zadziwiająco liczny orszak pogrzebowy; dziki ten, samotny mąż miał więcej przyjaciół, aniżeli przypuszczał. Starszy jakiś lekarz i Jerzy Jonatan spełnili czynności marszałków.

Löchen przemawiał. Jako tekst obrał sobie słowa: „Wszystko jest próżnością. Próżnością i dymem.“ Dużo trafnych rzeczy mówił o bolach życia.

„Księga kapłanów włączoną została do Biblii, ponieważ w natchniony sposób przedstawia nam konieczność zbawienia, malując świat z punktu widzenia bezbożności. Świat bez nadziei, bez głębszego objaśnienia jest tylko, tylko — próżnością i dymem. Wszystko, czem człowiek usiłował wypełnić swoje życie: praca, wielkie idee, ogólna humanitarność — wszystko to bez głębszego objaśnienia staje się słabem, pustem — próżnością i dymem. Ta księga Starego Testamentu pisana jest dla naszego czasu, stanowi dla wysoko-ukształconego umysłu współczesnego prawdziwy wstęp do chrześciaństwa, odtwarzając rozpacz, pesymizm, do jakich dochodzi istota wyżej rozwinięta, gdy usiłuje żyć bez Boga. Człowiek, którego dziś składamy w mogile, był uczciwym poszukiwaczem, nie taił przed tymi, którzy go znali, że poszukiwania i refleksya odwiodły go od wiary i od Boga. Był dzielnym i energicznym pracownikiem w swoim zawodzie, a serce miał pełne miłości dla ludzi; myśl jego zajmowała się zawsze zagadnieniami i planami poprawy stosunków społecznych i śmiało rzec możemy, że był to mąż w równym stopniu szlachetny i wy-

brzmieniem, a Nordau już przytacza zdanie jakiegoś psychiatry, który spostrzegł, że u obłąkanych wyraz łączy się zwykle z jakiemś wrażeniem barwnem, dźwiękowem. Pra-rafaeliści usiłują zerwać z bogactwem barw i wyszukaną techniką malarską, a natomiast cofnąć się ku wzorom pierwotniejszym, działającym na widzu prostotą. I znowu Nordau pisze rozprawę, w której wyniki ostateczne wiedzy aż do fizyologii komórki nerwowej są przyczepione do rozumowań, iż właśnie to jest dowodem zwyrodnienia, które nie znosi wrażeń natury bardziej złożonych. Jak rzekłem, wszystko to być może, zwłaszcza wśród *enfants terribles* każdego z wymienionych kierunków. Atoli metoda Nordaua pozostawia wrażenie tandety. Nadto w tej analizie psychiatrycznej wypadałoby uwzględnić jeszcze jedno. Doba obecna jest chwilą wyładowywania się w literaturze i sztuce szczególnej grupy społecznej — na wielką skalę. Industryalizm nowoczesny uczynił swoje: wytworzył mnóstwo atomów ludzkich wykolejonych i zgromadził je do kupy, do której należą postacie najrozmaitsze, od rzezimieszka i włóczęgi do Boulangera, od nierządnicy do aktorki. Dzisiaj na wozie, jutro pod wozem, taki jest tryb życia tej pstrej rzeczy, a sprzedaż swoich przekonań — powabów ciała — jednym ze środków zarobkowania. Zdolniejsi wydobywają się, jako najemnicy burżuazyi; uczciwsi usiłują przyczepić się do stanu czwartego. Reszta, mniej zdolna, mniej pracowita i nie tak szlachetna, zostaje w swojem położeniu, zajęta troską, jak i z czego żyć, byleby nie zapoznać się z karzącą ręką kodeksu. Sztuka, która oddawna jest ziemią obiecaną wykolejonych, wabi ku sobie te odłamy. W braku talentu ten i ów usiłuje olśnić „oryginalnością.“ Jeden nakłada strój duchowy pajca, inny wykrzywia twarz żądzą satyra, jeszcze inny zgodziłby się włożyć maskę małpią, byleby go oglądano i podziwiano a zwłaszcza dano zarobek. Dodajmy do tego brak jakichkolwiek zasad społecznych, talent słaby, rozsadzającą ambicyę, mierne wykształcenie, a otrzymamy obraz, który rzuca się nam w oczy u symbolistów. Przyszły historyk literatury bezwarunkowo przypisze grupie społecznej oberwańców rolę olbrzymią, choć nie jedyną w dzisiejszem wynaturzaniu się sztuki. Że wreszcie zwyrodnienie odziedziczone i nabyte, występujące prędzej lub później u każdego wykolejonego, przyczyniają się też do natężenia barw obrazu, o tem niepodobna ani na chwilę wątpić. Atoli gdzie się zaczyna wpływ warunków zarobkowania, gdzie ukazuje się reakcya ogólna przeciwko szablonowości mieszczańskiej, gdzie wreszcie się wżera zwyrodnienie, o tem zaiste trudno wyrokować. Dla Nordaua jednak istnieje tylko to ostatnie. A jeżeli mu nie uwierzymy, zarzuci nas gradem cytat: Lombroso wykazał, że pewien nos, a Frigerio, że pewne uszy zdarzają się tylko u istot zwyrodniałych; Sollier dowiódł, że idyoci lubią rytmiczne powtarzanie tego samego dźwięku. W razie potrzeby przywoła na pomoc fizyologię komórki nerwowej, a nawet badanie jednego amerykanina nad mową małp. Mądrość to świeża, wprost z igiełki, zabijająca, lecz mimo to tandetna, pociejowska...

Lombroso nadużył wiedzy i dowiódł, że antropologia stać się może narzędziem walki klasowej. W ręku Nordaua dzieje się z nią coś podobnego. Chociaż nigdy nie zdołaliśmy trafić do ładu z jego przekonaniami, nie omylimy się chyba, określając w ten sposób jego stanowisko. Wyobraźmy sobie człowieka, który nie tylko z przekonań, ale i popędów uwielbia ład, jaki panuje w drobnych miasteczkach niemieckich, posiada smak pewien, a przytem jest materyalistą-epikurejczykiem. Czci on naukę, nie dla tego, że ją rozumie, ale że dowiodła mu swojej pożyteczności: dała telegrafy, stworzyła koleje. Na przyszłość wymaga on od niej, ażeby to samo czyniła. A ponieważ tyle zrobiła, wierzy każdemu słowu jej i zżyma się, kto ją pyta o zagadki bytu. Dobrem i zdrowem moralnie dlań jest wszystko, co jest praktycznem, tj. nie mąci pełni życia i użycia filistersko-„filozoficznego,“ złem — co psuje spokój. O cele życia nie dba, a żyje, zadowolony wyjaśnieniami embryologii. Na altruizmy spogląda z litością; wie, że altruizm jest tylko przerodzoną postacią tego, co nieściśle nazywa „egoizmem,“ a co dzięki takiej nazwie miesza z najbrudniejszem sobkostwem. Ponieważ zaś w takiem oświetleniu zarówno człowiek, narażający życie swoje, ażeby kogoś uratować z nurtów rzecznych, jak filister, dbający o swoje ciało grzeszne i spokojnie przyglądający się pożarowi, jeżeli jest pewny, że iskra nie ogarnie jego chaty, są jednako samolubami, przeto moralność jego jest spokojna i nie zna wyrzutów sumienia. Otóż dzieckiem duchowym takiego środowiska jest Nordau, z tym tylko dodatkiem, że warunki zarobkowania uczyniły go dostarczycielem strawy dla flirtu nowoczesnego. Życie wydobyło na wierzch mnóstwo hałaśliwych, niesprzężonych, narwanych, niespokojnych głosów w sztuce. Nordau zjawia się na wyłomie, a ma w ręku psychiatryę, żeby tłum rozszalały napiętnować znamieniem zwyrodnienia. Człowiek — takiej natury i takich instynktów bezwarunkowo posiada olbrzymią zdolność poznania waryatów — jeszcze w zarodku, większą niż inni, których targa żądza wiedzy głębszej i życia szerszego. Że zatem w literaturze i sztuce z łatwością spostrzeże obłąkańca — rzecz to pewna; ale jeszcze pewniejsza, że do nich zaliczy też wszystkie zdrowe organizmy, zbyt zdrowe, ażeby pełzać w powszedniości filisterskiej... W poezyi, kto nie posiadał liry Tennysona, śpiewaka sytych i zadowolonych, będzie dla Nordaua materyałem zwyrodniałym. Dość powiedzieć, że całe szczęście Anglii widzi on właśnie w tem, że ów „poeta uwieńczony“ swoim przykładem przeciwdziałał szerzącym się prądom zwyrodnienia w literaturze! Gdziekolwiek spotka zdanie o bezmyślności deptaka, w którym epoka wszechfrymarczenia utrzymuje ludzkość cywilizowaną, wybucha oburzeniem podobnem, jakiego doznałby poważny bankier, gdyby mu zaprojektowano, na wzór robotników angielskich, zagrać w piłkę na placu publicznym. Zresztą poczekajmy tomu drugiego, w którym skalpel Nordaua ma dotknąć rzeczy i ludzi poważniejszych, niż symboliści.

K. R. Ż.

LITERATURA I SZTUKA.

R E N A N.

(Szkic psychologiczny).

Śród nowoczesnych dekadentów spotkać można ludzi niewierzących z temperamentu, którzy chcą koniecznie przymusić się do wiary. Renan przedstawia nam wprost odwrotny wypadek, natury religijnej, która pomimo burzycielskiej pracy rozumu w żaden sposób wiary pozbyć się nie może i dla wiary tej odpowiedniego przedmiotu odnaleźć nie jest w stanie. Jest tu uczuciowość czysto religijna. Jeden z krytyków francuskich wyraża żal z powodu, iż Renan nie zajął się opracowaniem historyi Grecyi. Nie sądzimy, żeby on mógł dzieła takiego dokonać. Rzecz dziwna, ten negator moralności jest z całego ustroju swego ducha mo-

---

soko rozwinięty. A jednak kresem i sumą jego poznania było, że wszystko jest próżnością i dymem. W tem poznaniu nagle się od nas usunął.

Lecz, doszedłszy do tego poznania, stanął na progu chrześciaństwa, na zbawienia progu. I miejmy nadzieję, że Bóg miłosierny w ostatniej chwili udzielił nam łaski przestąpienia tych progów. Bo wszyscy, którzy go znali, wiedzą, iż szukał uczciwie. A czyje usta nie znały fałszu — temu Pan przyobiecał i rzekł: „gdy szuka — znajdzie.“

Opanował mnie jakiś spokój. Rozpaczliwa burza, która huczała we mnie, odkąd odebrałem wieść żałobną, ciehła.

Kto zna ostatnie westchnienie konającego? Kto wie, co mu nagle zawiniało, gdy cienie śmierci zaczęły opadać na jego serce? I kto wie, co właściwie mieszka po za temi ciemnemi wrotami!..

* * *

Dr. Thisted, nowy lekarz domowy Löchenów, jest zajmującym człowiekiem. Bardzo odmienny od zwykłych naszych lekarzy.

Dużo podróżował i ma wiele myśli, z któremi tu „odezwać się nie wolno“; wierzy np. w hypnotyzm.

— W nauce tej nie ma nic mistycznego — mówi; a jednak wywoła ona rewolucyę i to nietylko na polu medycyny i prawnictwa. Ona bowiem zawiera niebezpieczną dla całej t. zw. „nowoczesnej wiedzy“ mądrość, mądrość, opiewającą, iż dusza — to grunt i że grzebanie w trupach nie jest jedynem zagadnieniem naukowem.

— Spirytyzm? Zachowuję się wyczekująco. Jeżeli potrafi dowieść tego twierdzenia, twierdzenie to jest prawdziwe. Nie ma nic więcej idyotycznego nad to zaprzeczenie z góry wszystkiego, co jest nieznane, a co „wiedzy“ współczesnej tak dziwnem się wydaje: jeżeli chcesz pan wiedzieć, co to jest dogmatyzm i dogmatyczne ograniczenie, zajrzyj nie do teologii, ale do medycyny.

* * *

(Niedziela, przed południem).

...Tak; *jest*. Jest w pokoju i w kącie; pięć albo sześć stóp za mojem krzesłem. Spogląda na mnie temi dziwnemi oczami, oczami nie z tego świata.

Czy ma mi coś do powiedzenia? To wyczekiwanie staje się dla mnie groźnem...

...Kochany, nieszczęśliwy przyjacielu, jeżeli możesz; jeżeli prawa duchowe lub przyrodzone nie są ci przeszkodą, objaw mi się teraz, w tej chwili, gdy, przygotowany, czekam cię; i objaw mi prawdę, bez której dłużej żyć niepodobna. Odpowiedz mi znakami. Dwukrotne pukanie znaczyć będzie *tak*; trzykrotne — *nie*.

Czy żyjemy po śmierci?

...Dziesięć minut strasznego oczekiwania. Cisza grobowa.

Może zechce pisać. Wezmę ołówek...

...Półgodzinne próby. Daremne. Ręka moja porusza się wprawdzie — zupełnie automatycznie; po części nawet ciągnie ją coś z pewną siłą naprzód. Lecz powstają tylko bezsensowne kreski i gzygzaki.

Może tu za jasno.

...Przyciemniłem pokój, zawieszając okna dywanami. Poczem znowu eksperymentowałem przeszło godzinę. Rezultat — żaden.

Nie jestem medium; jeżeli nawet *jest* tutaj, przeze mnie przemówić nie może. Krnąbrna moja, zwątpień pełna istota sprzeciwia się temu bezwiednie.

Więc trzeba znaleźć inne medium.

Ale... z chwilą, gdy w to wszystko wejdzie inne medium, powstaje natychmiast możliwość oszustwa, świadomego oszustwa lub też samooszustwa... Rozpacz.

Dziwnie jestem znużony. Wyjdę trochę na spacer.

(D. n.).

ralistą. Jest to jeden z ciekawych paradoksów umysłu ludzkiego, które każą często ludziom spragnionym sympatyi i współczucia budować całe systemy filozoficzne na podstawie egoizmu tak samo, jak zgęszczona duma ukrywa się zwykle pod maską uniżoności. Renan na wszystko patrzy ze stanowiska sędziego i moralisty: jest to umysł Knoxa, tylko bez energii, zapału i fanatyzmu — nigdy też nie posiadał tego zamiłowania plastyczności i objektywizmu, które są niezbędnym warunkiem dla pojęcia i pisania historyi Grecyi. On mógł być tylko historykiem religijnym. Wyobraźnia jego szuka nie obrazów i konturów, lecz wzruszeń sumienia. To też malując osobistości historyczne, przedstawia przedewszystkiem stany ich uczuciowości moralnej; oceniając zaś wypadki i epoki, rozpatruje je z punktu widzenia porażek i zwycięztw cnoty. I przytem człowiek ten nigdy nie był w stanie określić, co uważa za moralność i cnotę, jaki jest właściwie przedmiot jego kultu i wiary. Litania sprzeczności, których się pod tym względem dopuszczał, jest wprost nieskończona. W kwestyach Boga, moralności i nieśmiertelności wypowiedział całą gamę wszystkich możliwych poglądów, zaprawionych najgorętszą wiarą albo też najbardziej zapamiętałem przeczeniem, pocieszając się tem, iż być może w ten sposób natrafił kiedyś przypadkiem na prawdę. To też nie rzadko znaleźć można u niego tego rodzaju np. zdanie: „Cnota jest oznaką głupoty, ale bardzo jest ładnie być cnotliwym, wiedząc, iż się jest głupim." Twierdząc cokolwiek w sposób zupełnie poważny, napomyka odrazu, iż przeciwne jest prawdopodobnie prawdą; przy wyrażaniu uczuć najbardziej oddalonych od chrześciaństwa, używa zwykle tonu namaszczenia i mistyki, czem otrzymuje efekt nader eleganckiego bluźnierstwa, a jego zachwyty nad rzeczami świętemi „ideałami, które pozwalają ludziom żyć," zawierają w sobie zawsze odrobinę tajemnej ironii. Wszystko to kazało zakwestyonować szczerość Renana, a Sarcey np. posądza go wprost o mistyfikacyę. Jest to zarzut niezupełnie słuszny, chociażby dlatego, iż wyrazy szczerość i kłamstwo są może w danym razie za szczupłe dla objęcia wszystkich możliwych stanów ducha; to tylko powiedzieć można, że sprzeczność między temperamentem wierzącego i umysłem, który nie widzi ani przedmiotu, ani możności wiary, musiała wywołać wszystkie powyższe nieporozumienia. Dla honoru Renana dodać musimy, iż uprzedza nas, że pisze *cum grano salis* i że nie trzeba go pojmować w dosłownem znaczeniu. Chcąc zwykle wyrazić jakieś zdanie szczególne, którego sam nie jest pewny, używa formy śmiałej i nieoczekiwanej, której jaskrawość każe nam mieć się na ostrożności. Jeżeli naiwni się łapią i z kaprysu robią dogmat, to trudno czynić z tego zarzut Renanowi, trudno wymagać anielskiej prostoty od ducha tak złożonego i powikłanego. Bądź co bądź, jest rzeczą niewątpliwą, iż stały ton ironii, z konieczności przez Renana używany dla obrony od napadów, których prawowitość rozumie (Darwin przypuszcza, iż uśmiech ironiczny jest pozostałością specyalnego wykrzywiania mięśni twarzy, używanego przez przodków antropologicznych człowieka w pewnych wypadkach obrony) jest nadzwyczaj zdradziecki i to nietylko dla czytelników, ale i dla samego Renana. Pierwsi czują się jakoś nie swoi, w fałszywej, ironicznej pozie względem rzeczywistości po obcowaniu z książkami tego autora; on zaś sam ściąga na się wciąż zarzuty blagi i kłamstwa, ale wyrazy te, jak rzekliśmy, są w danym razie zbyt szorstkie, grube i brutalne. A zresztą, jeżeli względem życia zachowywać się będziemy zupełnie obojętnie i biernie, jeżeli mamy być tylko zwierciadłem odbijającem jego sprzeczności, to inaczej być nie może. Czyż to *panta rei* nie rozrywa nas, nie pochłania mnóstwem swych potoków? Znajdujemy się tu wobec ciekawego wypadku zaniku woli i rozproszenia osobowości, które już w przyrodzonej organizacyi autora znalazły grunt dogodny, a w wychowaniu i studyach naukowych uzasadnienie. Z takiemi skłonnościami ducha poznał Renan naukę niemiecką za czasów zupełnego rozkwitu hegelianizmu i dyalektykę jego posiadł w zupełności. Polega ona głównie na chwytaniu odcieni, na godzeniu sprzeczności. Zadziwiająca rozmaitość poglądów Renana na wszystkie kwestye pochodzi między innemi z tego źródła. *Panta rei*: niema nic absolutnego, niema dobra, ani zła, prawdy, ani nieprawdy; wszystko jest względne, zależne od warunków czasu i miejsca. Tylko że dyalektyka miała u Hegla charakter historyczny: godząc dwie sprzeczności, pokazywał, jak każda z nich w swoim czasie i miejscu była uzasadniona, pod piórem Renana dyalektyka ta przemieniła się na sofistykę, której on używa dla efektów artystycznych, rozumiejąc jej wady i braki. Z drugiej strony poznał Renan w Niemczech prace Brunona Bauera, Dawida Straussa, Ludwika Feuerbacha, ale w poglądach swych, o ile chciał być oryginalnym, zostawał zawsze niżej tych pisarzów. Jego „Życie Chrystusa" jest romansem historycznym, bez naukowego znaczenia.

„Renanizm" oprócz wyżej przedstawionej sofistyki, odznacza się jeszcze „arystokratyzmem duchowym." W tym ostatnim, o ile jest usprawiedliwiony, nie widzimy nic złego. Nietylko doświadczenie bezpośrednie, ale i nauka dowodzą nam, iż ludzkość składa się z tłumu i jednostek. Pierwszym kierują prawa psychologii społecznej, naśladownictwa i hypnotyzmu. Jednostką zaś jest nie koniecznie przedstawiciel specyalnie uzdolnionego mózgu, ale wogóle każda osoba, która zdoła wyzwolić się zupełnie świadomie z pod masowego hypnotyzmu. Od należności do tłumu nie uwalnia nawet często talent, chociaż ten, będąc przejawem indywidualizmu i oryginalności, ma wielką dążność do wyłamania się z pod jarzma masy. Znane są: cyganerya artystyczna, nieporządki życiowe i „niemoralność" tych sfer — wszystko nadzwyczaj ważne psychologiczne potwierdzenia powyższej reguły, które każą przypuszczać, iż talent z natury należy do arystokracyi duchowej. Cóż kiedy on, niestety, na każdym kroku w obecnem społeczeństwie się prostytuje, a dzięki nienormalnemu podziałowi pracy doprowadzony zostaje do skupienia całej swej oryginalności w pewnym tylko zmyśle, podczas gdy pozostała całość bywa najbardziej filisterska i oklepana. Otóż w Renanie widzimy właśnie tę sprzeczność między głęboką oryginalnością, która łamie wszelkie przeszkody a pętami tyranii masowej, występującej u niego na każdym kroku i w sposób ohydny. Ona to pewno, jako pozostałość plantatorstwa, doprowadziła go do ideału garstki uczonych, panujących nad ludzkością zapomocą strachu, nie arystokratów duchowych, lecz jakichś rzeźników. Uczeni ci mają skruszyć w proszek kulę ziemską, jeżeli ludzkość nie będzie im posłuszna. Bądź co bądź „ideał" ten pozwala nam skonstatować nadzwyczaj zranioną, zakrwawioną czułość, jako skutek odwiecznego zatargu między masą, a jednostką. Jego niepostrzeżona, lecz nieprzerwana ironia i pogarda świadczą także o tem, ale obojętność na opinię tłumu zatrzymuje przed opinią bogatych. Trzeba też przyznać, iż dyskretność głębokiego uczucia nie jest w nim obliczona na zdobycie sympatyi. Nie jest to także dandyzm wygórowanej ambicyi, dumnej z tego, iż się nie podoba, ani też paradoks człowieka, który się uważa za nieuznanego. Renan bowiem miał wszystko: sławę, pieniądze, urzędy. Być może, iż była to pozostałość z czasów, gdy się jeszcze dobijał, zmarszczka, od której jego fizyognomia duchowa nigdy już uwolnić się nie mogła. W każdym razie mamy tu przed sobą całą doktrynę, która się wyraziła w nienawiści do demokracyi.

Nareszcie zaznaczyć musimy w fizyognomii duchowej Renana jeszcze jeden rys: dyletantyzm, który skłaniał go do zajęcia się wszystkiem, nie oddając się niczemu. Sztukę ciągłego porzucania swego „ja" i wchodzenia w cudzy stan umysłowy i uczuciowy doprowadził do doskonałości. Nastrój ten rzadko idzie w parze ze zdolnością twórczą, ale to niczego nie dowodzi. Zgnuśniałość mieszczaństwa bogatego objaśnia się nie jego dyletantyzmem, ten jej tylko towarzyszy — ona zaś sama pochodzi z innych zupełnie przyczyn. U najszlachetniejszych okazów natury ludzkiej, obdarzonych potężną twórczością znajdujemy dyletantyzm: u Cezara, Leonarda da Vinci, Goethego, a i Renanowi do pewnego stopnia zdolności tej odmówić nie można. Dyletantyzm sam w sobie, jako rozszerzenie istoty ludzkiej, niepozwalające jej zasklepić się w pewnej skorupie, jest sympatyczny. Wyszukany sceptycyzm powiększał Renanowi użycie, płynące z tego nastroju, jakkolwiek trzeba przyznać, iż charakteryzuje go nie przeczenie, lecz obfitość twierdzeń i punktów widzenia. Ta obfitość rozbraja zwykle jego sąd i zamienia go na wspaniałego Proteusza, który co chwila zmienia kształty i barwy, skacze z jednego bieguna świata na drugi i stara się pojąć naturę i życie we wszystkich, tysiącznych ich przejawach. Renan rozpatruje wszystkie strony zjawisk z uśmiechem pogardliwym — rozumie bowiem niemoc wszelkich doktryn — i zarazem pobłażliwym, gdyż pojmuje, iż doktryny te w pewnym czasie i miejscu dla pewnych osób były lub będą słuszne. I tu odnajdujemy Heglowską dyalektykę. Rzecz dziwna, wszystkie te cechy: sofistyka wyrzekająca się poglądów stałych, dyletantyzm, rozpraszający się na wszystkie strony, świadczące o braku silnej osobowości doprowadzone zostały przez Renana do takiego rozwoju, iż im właśnie zawdzięcza swą indywidualność — z temi cechami przedstawia odrębny typ czucia i myślenia naszej epoki. Nastrojem tym daje bogaty grunt dla artyzmu, powstrzymuje jednak od życia czynnego. Renan istotnie zabijał radość, działanie, spokój duchowy i pewność życia moralnego. Jego moralność jest „o dwóch ostrzach," bo „jeżeli" — powiada — winniśmy Przedwiecznemu cnotę, to mamy, jako odwet, prawo ironii," a dobro praktykuje nie z prostotą, lecz przez elegancyę, z tysiącem dowcipów i złośliwości. I przy tem wszystkiem znajdujemy w nim nie melancholię i rozpacz, lecz stałą, nieprzerwaną wesołość. Jest to rzecz temperamentu, a zresztą świat bawi go jako widowisko, nawet swemi okropnościami. zwłaszcza że osobiście był od nich zabezpieczony, mając pieniądze, sławę, rozum. Ginie w swych ironiach i odcieniach, znajdując w tej gimnastyce umysłu rozkosz niewysłowioną. Forma jego dzieł jest zawsze artystycznie wykończona, dodajmy, iż ten hebraista, erudyta, filolog jest jednym z największych poetów naszych czasów, dzięki sile uczucia i bogactwa wyobraźni. Skupia się ona bardzo często na kobiecie, o której mówi z pogardą i zarazem z uwielbieniem, co się objaśnia jego przesącznością? ekleczyastyczną. W jednym ze swych dramatów („La Fontaine de Jouvence") gaśnie on rozkośnie w objęciu aż dwu piękności, ale za to w innym („Prêtre de Nemi") on, sceptyk ginie śmiercią krwawą w walce za postęp.

Właściwie mówiąc, Renan najlepiej odmalował siebie w swoim „Marku Aureliuszu." Oto niektóre ustępy: „Marek Aureliusz, prawdę powiedziawszy, niema żadnej filozofii... W religii waha się między deizmem i panteizmem kosmicznym (Renanowska „boskość")... Niema żadnej idei stałej o duszy i nieśmiertelności... A jednak była to natura głęboko religijna i moralna — ale

bez dogmatów, co się objaśnia tem, że dla moralności potrzebne jest zwątpienie. Trzeba wierzyć bez dowodu, inaczej gdzież byłaby zasługa? Oderwał piękno moralne od wszelkiej ustanowionej teologii, ale i tu jeszcze wątpił: „Jakto — zapytuje — światło lampy błyszczy aż do chwili, gdy ona gaśnie i nie traci swego blasku, a prawda, słuszność, umiarkowanie, które są w tobie, miałyby zgasnąć wraz z tobą“? Całe jego życie przeszło w tem szlachetnem wahaniu. Stały jego ton—to lekka ironia, rezygnacya, dobroć. Najtrwalsza dobroć jest ta, która się opiera na jasnym poglądzie, iż wszystko na świecie tym jest bezpodstawnem złudzeniem. W tej ogólnej ruinie co pozostaje? Złość? O, to nie warto zachodu. Rozczarowany, który wie, iż każdy przedmiot żądzy jest zwodniczą marą, czemuż będzie zadawał sobie trud tak nieprzyjemnych uczuć? Dobroć sceptyka jest najpewniejszem wyjściem. Ona pozwoliła M. Aureliuszowi nawet śmierć zwyciężyć. Mógł uśmiechać się z jej powodu, gdyż istotnie nie miała ona już dlań żadnego znaczenia.“ Jest to najlepszy portret, jaki kiedykolwiek z Renana zdjęty został; dla M. Aureliusza jest on poczęści karykaturą.

L. W.

LITERATURA POLSKA.

Józefa Szebekówna. *Życie syzyfowe.*

Nieznana z prac oryginalnych autorka tym pierwszym utworem odrazu wywalczyła sobie stanowisko poczesne. „Życie syzyfowe“ czyta się z dużem zajęciem, budzi ono sporo refleksyi, nastraja smutnie. Uderza w nim opanowanie przedmiotu, harmonijna zgodność formy i treści. Pisane jest ono w stylu realnym, bez zapędów naturalistycznych, zwięźle, z pewnym podkładem liryzmu. Jest to powieść z życia ludowego; rodzaj ten w ostatnich czasach zaczyna mnożyć się ilościowo i jakościowo, lecz przedewszystkiem ilościowo. Szczególnie licznie i tłumnie zjawiają się drobne obrazki, szkice i nowele. Utwór p. Sz. przedstawia pracę większych rozmiarów, podjętą w stylu szerokim, wykonaną starannie i z talentem. Pożądanem jest dla krytyka pisanie o rzeczach odczutych i przemyślanych. Nie potrzebuje przynajmniej być „pogromcą“ lichoty, płytkości, obrońcą dobrego smaku i tropicielem braków i wadliwości. Kierunek ludowy, jaki się u nas przejawia od dłuższego czasu i posiada kilka już faz, nie odbił się ujemnie na beletrystyce. Nie spotykamy jakiegoś nadmiernego idealizowania ludu, upatrywaniu w nim źródła wszelkich cnót i doskonałości, uważania go za wyłączną arkę odrodzenia społecznego. Świadczy to, iż prąd ów nie płynął i nie płynie u nas wszystko obejmującem łożyskiem, że na sztandarze godeł i haseł przyszłościowych nie powiewa tylko sukmana chłopska. Wpływ ten na literaturę był korzystny i dodatni, roszerzył on widnokrąg artystyczny i uwrażliwił ogół czytelniczy. Literatura nasza nie przystępowała do chłopa z takim mistycyzmem, z takim modlitewnym i rzewnym nastrojem, z taką wiarą ewangeliczną, jak w Skandynawii i Rosyi. Nowe skandynawskie odrodzenie na chorągwi swych dążeń wypisało: „Bóg i chłop,“ a okres ten upamiętnił się wybujaniem sentymentalnych utworów z dziedziny roztkliwionych sielanek chłopskich. W Rosyi pewien kierunek literatury idealizował chłopa w celu tem większego pognębienia inteligencyi, która oderwała się od gruntu i której przeciwstawiono głodny, lecz zadowolony, ciemny, lecz wszystko wiedzący lud włościański. Niektórzy znów wraz z Bazarowym Turgeniewa wyrzekli, iż lud to „tajemniczy, nieznajomy.“ Nasza powieść ludowa nie występuje w takich osłonkach i dekoracyach. Celem jej jest zbadanie i wyświetlenie danej sfery stosunków, rozżarzenie uczuć demokratycznych, czasami może wywołanie uczucia pobratymstwa i powinowactwa duchowego z masą ludową, ostatnia ta jednak cecha ujawnia się stosunkowo słabo.

Osią i rdzeniem „Życia syzyfowego“ są dzieje Wincentego Lacha, zwanego pospolicie Witkiem. Całe życie jego przewija się przed nami w obrazach realnych, plastycznych, ujmujących odczuciem i zrozumieniem. Cały rozwój duchowy, wszystkie przejścia losowe, przełomy psychiczne, jakich tylko mógł doznawać chłop-parobek, umieszczony w zacieśnionych i niezłożonych stosunkach, wszystkie falowania niegłębokiej, o małej skali duchowości, cały zasób wrażeń i poglądów, uczuć i pojęć, jakie nawiedzały tę czaszkę, wszystko to odwzorowane zostało dokładnie i przekonywająco. Widzimy Witka małem pacholęciem, jako syna kucharki czeladnej, żyjącego w poniewierce. Matka, żołnierka, miłowała go głęboko, darzyła często pieszczotami, wielokrotnie jednak wywierała na nim swe żale i gniew, jakie przysparzało jej życie surowe i mroczne. Wszystkie swe lata spędził Witek koło „dworu,“ złożył mu swą pracę w daninie, a nawzajem doznał tylko zawodów, upokorzeń i trosk. Pierwszem bolesnem i długotrwałem uczuciem, które wstrząsnęło jego wątłą istotą, było sponiewieranie wówczas, kiedy go panicz, bawiący się w ogrodzie z dziećmi oficyalistów, przywołał do swego grona. Niedługo trwała uciecha, dostrzeżono oberwanego i zamorusanego chłopca i nakazano go sromotnie wypędzić. Cała zgraja dzieciaków, dzielących zaszczyt bawienia się z „paniczem,“ prześladowała go potem przezwiskiem „obdartusa“ i „brudasa.“ Tą drogą zapoznał się Witek z odrębnościami i przeciwieństwami klasowemi. Była to pierwsza i dotkliwa lekcya samopoznania społecznego. Odtąd zaczął uświadamiać sobie swe poddańcze stanowisko wobec dworu, gawędy matki szumiały mu w głowie poszeptem niejasnym, iż ze dworu niczego, krom krzywdy i poniewierki, spodziewać się nie należy. Wkrótce po tej przygodzie ośmioletni Witek dostąpił godności pastuszka gęsi. Matka obiecała wziąć go na jarmark do miasta, do „gubernii,“ gdzie miała mu kupić odzienie i gdzie miał ujrzeć wiele ciekawych rzeczy. Witek już zaczął snuć barwną tkaninę wyobrażeń i myśli o przyszłych wrażeniach i dziwach, gdy przypadkowo przerwana ona została w sposób gwałtowny i brutalny. Znużony mozolnym swym obowiązkiem, czując się niezdrów, usnął. Gęsi weszły w owies, traf zesłał na tę chwilę dziedzica — następstwa tego łatwe do przewidzenia. Potem zjawia się Witek jako spory wyrostek, będący już owczarkiem. Umarła w tym czasie Wojtkowa, dogorywająca już dawno. Niemniej jednak śmierć matki ogłuszyła Witka, podczas pogrzebu aż odrywać go musiano od trumny. Ogarnęła go żałość głęboka, ale niebawem uspokoił się — trzeba było pilnować owiec. Wieczorem, przyszedłszy do kuchni, zjadał aż dwie miski kartofli, których mu Franka nie żałowała — boć zmartwienie wysysa człowieka, a on taki sierota!.. Zbliżył się nareszcie przełomowy okres życia naszego bohatera. Witek był już parobkiem dorodnym, lubianym ogólnie, pilnym i pracowitym, chętnym i skorym do zabawy. Dziedzicem zaś podówczas był człowiek młody, jego rówieśnik. Podobały się Witkowi różne dziewczęta, a żadna z nich nie opanowała niepodzielnie jego serca. Jednego dnia podobała mu się Marysia Dankówna, bo miała oczy jak iskry; w tydzień później spostrzega, że Jagusia Kosiakówna ma piękne włosy, a w następną niedzielę cały wieczór tańcował z Kasią Szewczanką i poił dziewczynę wódką, ale nazajutrz i o tej zapomniał. Czasem jednak po robocie, albo kiedy konno wracał z miasta, chwytała go nieokreślona tęsknota za tem, że już czas by pokochać jaką dziewczynę; ale myśli takie przychodziły mu rzadko — chłop na marzenia nie ma czasu... Przyszła jednak chwila rozmarzenia, a nawet roznamiętnienia miłosnego. Wybranką i władczynią jego uczuć została hoża dziewczynka, Hanka. Jej także podobał się żwawy, wesoły i zakochany chłopiec. Gotowa była już poślubić go, gdy wtem do romansu ich wdał się „ten trzeci“ w postaci dziedzica, czciciela i znawcy wdzięków niewieścich. Romans odrazu przybrał inny kierunek. Hanka nie została obojętna na pokusy i względy dziedzica, próbowała jednak do czasu tumanić Witka. Ten ostatni atoli zaczął dostrzegać jakąś zmianę w jej usposobieniu i postępowaniu, niejasne przeczucia i podejrzenia wynurzały się w jego świadomości. Wreszcie podczas pewnego późnego wieczoru ujrzał „pana,“ powracającego z chaty wujostwa Hanki. Witek zawrzał gniewem, chciał obić pana, ale pierwsza pobudka szybko zagasła, podniesione ramię wiekowego holoty opadło bezwładnie. Gniew tajony nurtował go głęboko, ale czynnie wystąpić w obronie swego kochanka — na to nie mógł się zdobyć. Dziedzic postanowił na miejsce kochanki swoj, Zosi, która znużyła go swą miłością egzaltowaną, zwabić Hankę, z Zosią zaś, stosownie ją uposażywszy, ożenić Witka. Ten jednak bez wahania odrzucił propozycyę i opuścił rodzinną wioskę, gdzie marzenia jego o szczęściu zostały tak bezlitośnie zwichnięte. Znalazł się w sporej odległości od miejsca ojczystego w majątku p. Barwińskiego. Pan ów był to stary kawaler, gospodarz rządny i skrzętny, mający w okolicy opinię dziwaka i sknery. Czeladź swą zachęcał do oszczędności, umieszczał nawet u siebie pieniądze jej, płacąc pewien procent. Witek w rozmowie z nowym swym chlebodawcą dowiedział się, iż dzięki systematycznej i wytrwałej oszczędności po pewnym przeciągu lat osiąść może na własnej gospodarce. Myśl ta jak błyskawica oświetliła jego umysł i odtąd stała się ogniskiem wszystkich jego zabiegów. Przeistoczył się rdzennie, porzucił dawne nawyknienia i popędy, stał się narzędziem, ciułającem gorliwie „papierki.“ Wzburzona uczuciowość jego musiała znaleść jakiś punkt oparcia, jakiś ognik przewodni — właśnie tego rysu autorka prawie nie zaznaczyła. Marzenie o kawałku ziemi, o zagrodzie własnej — to jedynie dostępny pozytywny ideał dla chłopa. Ale ideał ten bynajmniej nie czyni wyznawców swych „idealistami.“ Na przykładzie Witka dosadnie uwidocznia się cały proces powstawania i rozwoju tego ideału, cały proces wynaturzania się i przytłaczania natury ludzkiej. Dążenie Witka już prawie dobiegało kresu swego, gdy wtem spadł nań nagły i nieoczekiwany cios — umarł stary Barwiński. Następcą jego został rozrzutnik i hulaka, który sprowadził ruinę majątkową. Witek nie wiedział co począć ze swemi pieniędzmi, bał się ich wypożyczyć i nie mógł pojąć nawet, jakim to sposobem one mogą przynosić znaczny zysk, uważał, iż sztuka taka udaje się tylko żydom. Młoda dziedziczka całkiem wyodrębniała się od swego męża. Była to istota dobra, łagodna, uczuciowa, lecz krańcowo niepraktyczna i nie przystosowana do obecnych warunków. Witek oddał jej na przechowanie swój skarb. „Pan“ podczas jakiejś gwałtownej potrzeby wymógł te pieniądze i nie zwrócił. Przy pogromie majątkowym nic nie ocalało, cała krwawica Witka zmarniała. Nastąpił nowy przełom w jego życiu. Zrozpaczony, za ostatnie kilka rubli wyprawił ogólną pohulankę. Po przepiciu nie mógł sprawnie wykonywać swej roboty — maszyna urwała mu rękę. Został odwieziony do szpitala, długo tam chorował, siostra miłosierdzia pielęgnowała go starannie, a nadewszystko pragnęła wpoić weń głęboką religijność.

Pod wpływem rozmów, prowadzonych z nią, a także własnych rozmyślań zaszła nowa faza w duchowym nastroju Witka: stał się on gorliwym religiantem, w religii, w szczęściu, życiu pozagrobowem znalazł punkt oparcia i wytłomaczenie całego swego życia. Opanowało go rozmodlenie jakieś i mistyczny wzlot po nad wszelkie sprawy i dolegliwości doczesne. Moment ten został nakreślony przez autorkę z wielkiem wniknięciem i trafnością obserwacyi. Nadeszła wreszcie chwila rozwiązania tego smutnego i powszedniego dramatu. Kaleka-Witek powrócił do rodzinnej swej wioski. Proces zamierania jego indywidualności, rozkład duchowy i fizyczny został odtworzony z wielką ścisłością i subtelnością.

Br. Chrz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KONGRES EKONOMICZNY W ANTWERPII.

Ponieważ Europa najeżyła się obecnie baryerami celnemi we wszystkich kierunkach, więc możnaby sądzić, iż konieczność polityki protekcyjnej jest powszechnie przyznana. Dzieje się jednak inaczej. Nigdy może protesty przeciw tej polityce nie były energiczniejsze. Świadectwem konkres w Antwerpii, który się odbył w ubiegłym miesiącu i zgromadził koło 600 ekonomistów i przemysłowców z różnych końców świata.

W kwestyi celnej postawił sobie program następujący:

1) Jakie wyniki dała polityka protekcyjcyjna w głównych krajach, w zastosowaniu do wytwórców, spożywców i robotników.

2) Czy można ocenić skutki billu Mac-Kinleya i jakie one były?

3) Jakie były skutki zastosowania nowej taryfy francuskiej.

4) Określenie reakcyi ekonomicznej, rozpoczętej w Niemczech w r. 1878 i jej rezultatów.

Następuje kilka pytań bardziej specyalnych, w przedmiocie taryf, traktatów handlowych itd. Sprawozdanie o Rosyi podali pp. Nowikow (z Odesy) i Stlberstein (z Łodzi). Pan Nowikow, członek komisyi celnej przy ministeryum skarbu, skreślił historyę taryfy ruskiej: w 1859 r. była ona liberalna, ale począwszy od r. 1868 zaczęto stopniowo zwiększać cła i ruch ten doszedł do swego szczytu w r. 1881. Ściśle oznaczyć jego skutków jeszcze nie podobna bądź co bądź nie podlega wątpliwości, iż obroty handlowe znacznie osłabły. Nowikow jest gorącym zwolennikiem wolnego handlu. Nieprawda, zdaniem jego, żeby narody młode potrzebowały protekcyi celnej; przeciwnie, wywołuje ona zwykle podrożenie wszystkiego, co jest niezbędne dla przemysłu i powstrzymuje jego rozwój.

Silberstein podziela zdanie Nowikowa. Dzięki protekcyi celnej Rosya płaci za maszyny kupowane w Anglii i Belgii o 50% drożej, niż trzeba, również wywołano podrożenie węgla szkodliwe dla przemysłu, oraz zwyżkę taryfy przewozowej z takimże skutkiem.

Max Boemel, członek sejmu niemieckiego, przedstawia w sposób następujący skutki protekcyonizmu: w r. 1878 cztery czynniki złożyły się na ustanowienie tego systemu w Niemczech: finanse, przemysł, rolnictwo i uczucie patryotyczne. Można także dodać żądanie interwencyi państwowej w sprawach ekonomicznych, która się zrodziła wraz z socyalizmem. Ta rekacya przeciw wolnemu hadlowi wywołała skutki finansowo dogodne, gdyż dochody celne wzrosły ze 100 milionów na 370 mil. marek, ale wzrost ten wywołany został w $^3/_4$ przez taksy zbierane z przedmiotów spożycia. Przemysł także się rozwija od czasów tej reakcyi: przed ustanowieniem ceł produkcya węgla wynosiła 40 mil. tonu, w ostatnim natomiast roku 80 mil.; produkcya stali w tychże datach 2 i 4 miliony tonn. Ale te rezultaty otrzymane zostały nie dzięki protekcyonizmowi, lecz dzięki innemu zupełnie szeregowi przyczyn, które dają się czuć w kraju całym. Naprzód ludność wzrosła znacznie: o 10 milionów od początku reakcyi celnej; następnie trzeba wziąć pod uwagę wpływ postępu technicznego, jedności narodowej, uzbrojeń wojennych i olbrzymich robót publicznych na rozwój działalności przemysłowej. Jeżeli zaś spojrzymy na odwrotną stronę medalu, to znajdziemy olbrzymi wzrost cen środków spożycia, liczne bezrobocia, niedogodny balans handlowy. Wogóle zaś, zdaniem mówcy, Niemcy popełniły błąd, wstępując na drogę protekcyonizmu; jest on natomiast zwolennikiem traktatów handlowych.

P. Davivud z Paryża dowodził, iż cyfra tranzakcyi z zagranicą spadła znacznie od czasu ustanowienia nowej taryfy, sądzi więc, iż lekcya poskutkuje i wywoła powrót do wolnego handlu. Toż samo założenie rozwijał obszernie Molinari.

P. Beraza, deputowany, dał wiadomości o protekcyonizmie w Hiszpanii, który wywołał tam głębokie zamieszanie. Ceny wzrosły, kontrabanda przybrała takie rozmiary, iż paczy zmysł moralny znacznej części ludności. O duchu nowej taryfy ultra protekcyjnej można sądzić z tego, iż została ona wypracowana przez komisyę, złożoną w większości z fabrykantów i kapitalistów. Spożycie, natychmiast po jej wprowadzeniu, znacznie ograniczone zostało, co odbiło się zaraz na samej produkcyi. Wywóz znacznie spadł, rolnictwo niedomaga. Zbawienie, zdaniem mówcy, w powrocie do wolnego handlu.

P. Bigelow z Nowego Yorku uważa, iż protekcyonizm amerykański jest jednym ze skutków wojny secesyjnej i wywołany został przez konieczność dostarczenia skarbowi nowych dochodów. Ci, co walczyli przeciw wyższym cłom, byli przedstawiani jako wrogowie kraju. Po ukończeniu jednak wojny, spostrzeżono, iż wytworzyły się i rozwijały liczne gałęzie przemysłu. Zażądano więc utrzymania taryfy celnej przez pewien czas, żeby ich nie rujnować. I stan ten trwa już od lat trzydziestu. Te nowe gałęzie przemysłu mają olbrzymi wpływ tak przez swe kapitały, jak i przez ilość robotników. Trudno walczyć z nimi. Robotnicy sądzą, iż protekcyonizm utrzymuje wysoką stopę ich płac, nie zwracając uwagi na to, iż ceny żywności także wzrosły. Profesor Alglave natomiast bronił billu Mac Kinleya, twierdząc, iż on nie mógł mieć żadnego wpływu na ceny żywności, gdyż Stany Zjednoczone nie otrzymują z Europy ani chleba, ani mięsa. Oprócz tego bill ten ustanowiony był dla zapobieżenia ubóstwa pieniędzy, którem Ameryka była zagrożona, nareszcie i dla zmuszenia Europy do opłacania swych robotników w tejże stopie, jaka istnieje w Ameryce. Tezę protekcyjną popierał także p. Porambara z Rumunii. Z wyjątkiem tych dwu posłów kongres jednogłośnie oświadczył się za rozszerzeniem wolności handlowej i utworzył nawet w tym celu odpowiednią „Ligę międzynarodową.“

Druga sprawa, którą się zajął, dotyczyła prawnej reglamentacyi. Tu postawiono sobie program następujący:

1) W jaki sposób można byłoby otrzymać dobrą statystykę międzynarodową pracy?

2) W jakich warunkach ograniczenie czasu pracy było dotychczas ustanowione, jak ono funkcyonuje i jakie skutki dotychczas wywołało?

3) Czy trzeba reglamentować pracę kobiet dorosłych?

4) O ile ograniczenie urzędowe czasu pracy znajduje się w interesach robotników?

5) Czy reglamentacya ta może być inna, niż międzynarodowa?

6) Czy można dojść w tej kwestyi do porozumienia międzynarodowego z sankcyą dostateczną?

7) Czy ono powinno rozpowszechnić się na wszystkie gałęzie przemysłu naraz, czy też na każdą z osobna?

8) Czy praca na sztuki powinna być zakazana?

We wszystkich tych kwestyach zostały przedstawione nader intresujące sprawozdania, ale w żadnej z nich kongres nie powziął uchwały. Ograniczymy się więc na wyliczeniu tylko głównych sprawozdań. O międzynarodowej statystyce pracy mówił Hektor Denis, rektor uniwersytetu w Brukselli Franck Lombard z Genewy przedstawił sprawozdanie z położenia ekonomicznego robotników i reglamentacyi pracy w Szwajcaryi, Brumsen — w tej samej sprawie dla Danii i Norwegii; Van der Velde — dla Belgii; Migerka — dla Austryi; Sidney Webb — dla Anglii. Reglamentacya pracy bronioną była przez pp. Van der Velde, Van de Put i Van Overbergha'a — natomiast „wolności pracy“ bronili pp. Bramsen, Cassano, Legrand, Lepersonne i Strauss. Ci ostatni występowali w interesach rozwoju techniki, który wrzekomo z żadną reglamentacyą pogodzić się nie może. Interesujące też dla masy danych są sprawozdania Buschmana, Garota, Dounata, Bellefronta, Van der Resta i Leysa.

Eipon.

LIBERUM VETO.

Korzenie się przed naturą. — Wyłączeni z niej. — Lud jako jej część.—Uwielbianie wszelkich jego tworów.— Dwie zasady. — Urodzeni geniusze. — Historya kultu zakopiańskiego. — Praca dr. Matlakowskiego o „Budownictwie na Podhalu.“ — Ojcowie stylu i całkiem przypadkowe jego odkrycie. — Przesada uniesień. — Nieproporcyonalne trudy.

Rozpłakane i cierpiące dziecko tuli się do matki; podobnie zniechęcony zawodami lub zrozpaczony bezsilnością człowiek zwraca się do natury. Wtedy podziwia jej mądrość, uwielbia jej wdzięki, korzy się przed jej potęgą i uważa siebie za marny pyłek na wspaniałej szacie jej majestatu. Chociaż sam stanowi tylko jej cząstkę, najprzedniejszy organ wielkiego jej ciała, przeciwstawia się jej jako coś wyodrębnionego i maluczkiego; chociaż jego dzieła często wielokroć przewyższają to, do czego zdolna jest cała przyroda bez człowieka, on wobec niej wstydzi się swej marności i niedołęztwa. Artysta, który namalował krajobraz piękniejszy od rzeczywistego lub wzniósł budynek przedziwnej architektury; technik, który sporządził maszynę zadziwiającej pomysłowości — wszyscy ci ludzie genialni, prawdziwi stwórcy, w chwilach zwątpienia nazywają się mizernymi partaczami w porównaniu z niedoścignioną mistrzynią — naturą.

Właściwie nie wyłącza się i nie przeciwstawia jej człowiek, ale człowiek ukształcony i utalentowany. Dzikich, barbarzyńców, protestantów zaliczamy do natury. Klękając więc przed nią, musimy z konieczności klękać przed nimi. Chłop — jak rzeka, łąka, niwa, drzewo, koń, ptak — stanowi dla nas jej część składową. Gdyby Chełmoński wymalował powrót z kościoła panów w tużurkach i pań w sukniach, uznalibyśmy jego obraz za banalny; ponieważ zaś wymalował powrót z kościoła czerwonych, bosych dziewczyn wiejskich, idących drogą między łanami zboża — uznajemy jego płótno za piękne, bo przedstawia

„naturę.“ Ten dziwny pogląd panuje we wszystkich dziedzinach naszego życia umysłowego. Śród tysięców wierszy, zamieszczanych w pismach peryodycznych, obok robót czysto rzemieślniczych znajdują się nieraz istotne perły artystyczne. Nikt jednak nie zwraca na nie uwagi, nikt ich nie ceni, nie wyróżnia, bo wytworzyły się na muszlach „inteligencyi.“ Tymczasem najgłupsza i najpospolitsza piosenka ludowa, która nawet stosunkowo do stopnia rozwoju i uzdolnienia swych twórców jest płodem niedołężnym, bywa starannie zbierana z ust wieśniaczych, spisywana we wszystkich, najbłahszych odmianach i wnoszona jako klejnot do skarbca poezyi narodu. Robimy najstaranniejsze poszukiwania, jak w każdej okolicy kraju wieśniaczki zwołują kury, kaczki i świnie; ogłaszamy, że w jednem miejscu służy do tego: *malu-malu*, a w innem — *maluśki-maluśki*; piszemy osobne artykuły o jednym zmienionym wyrazie bzdurnej przypowieści w pewnej okolicy; cieszymy się, gdy ktoś wykrył, że we wsi Zakrzówku laskę stróża nocnego nazywają *wartą*, a we wsi Wrzosy-Kurzele — *pałką*, lub że zagadka gdzieś brzmi: „fiitu, fitu, pełna skrzynia aksamitu,“ a gdzieindziej — „situ, situ, pełna skrzynia aksamitu“ — itd. Słowem, zbieramy nietylko wartościowe produkty umysłowości ludu, ale jej najmarniejsze okruchy z taką czcią, jaką ledwie okazujemy najwyższym geniuszom; zjadamy ów lud — że tak powiem — całkowicie, jak wieprza, z wszystkiemi wnętrznościami i ogonem, nie marnując nawet szczeciny, z której wyrabiamy szczotki. W sferach wyższej twórczości istnieje krytyka, która jej płody gatunkuje, ocenia, stawia w wyższych i niższych rzędach, zalicza do sztuki i literatury lub z nich wyłącza; tu wszystko jest zarówno dobre, piękne i podziwu godne, tu niczego, bezwzględnie niczego nie lekceważy się, tu wszystko idzie na ołtarz, a nic na śmietnik.

To samo w dziedzinie języka. Lud urabia wyrazy nowe, dobre i malownicze, ale także zwłaszcza z obcych naleciałości fabrykuje cudackie, niedorzeczne, prawdziwe grzyby i narośle na pniu mowy. Jedne i drugie wszakże są starannie zbierane, spisywane, włączane do słownika i wypieszczane przez filologów. Jeżeli mieszczanin powie *lewerwer* — wybuchamy śmiechem; ale jeżeli ten sam skażony wyraz znajdzie się w ustach chłopskich, filozofujemy nad nim, objaśniamy, jak cudownie w nich *r* przeszło na *l*, a *o* na *e*. Jeżeli usłyszymy chłopa, mowiącego: *siarna*, *fort* (dalej), *sołdryk* (żołnierz), *ciecierz* (cietrzew) itd. — wpadamy w zachwyt, a szczęśliwy znalazca paru takich klejnotów językowych natychmiast przesyła je do Akademii i ma za to wszelką nadzieję zostać jej członkiem. Nasi poeci i prozaicy natworzyli wiele wyrazów nowych i pięknych, które długo nie wychodziły po za stronice ich dzieł, zwolna niektóre z nich zyskały prawo obywatelstwa, a innych dotychczas używamy w cudzysłowach, zachowując tym sposobem przy nich znamię indywidualnej własności Słowackiego lub Krasińskiego. Trentowski nastrugał mnóstwo wyrazów oryginalnych, które prawie wcale nie weszły do mowy powszechnej; gdyby jednakże te same dziwolągi narodziły się w jakiejś Wólce z Wojtków i Maćków, uważalibyśmy je za najświętsze relikwie języka i obnosili po literaturze w uroczystych procesyach filologicznych.

Szczęśliwi Wojtki i Maćki, wszystko, co zrobią, jest znakomite! Ani wiedzą, że gdy który z nich, podchmieliwszy sobie w karczmie, zaimprowizuje jakąś tłustą piosenkę, stworzy rzecz poetyczniejszą, niż Konopnicka w całej swojej chwale.

Przed laty 40 kilku ślicznej pamięci nieboszczyk Chałubiński, który był na wskroś poetą i kochał góry, wędrując śród Tatr znalazł w nich piękne ustronie, o którem zaledwie wiedzieli galicyjscy poborcy podatkowi — Zakopane. Rozmiłował się w tym zakątku, w jego ludzie z natury inteligentnym i urodziwym, zaczął tam przez długi szereg lat jeździć na odpoczynek letni, chodzić po „wirchach,“ poprawiać dolę biedaków i sprowadzać im gości. Za tak potężną osobistością musiała podążyć liczna rzesza chorych i turystów. Wkrótce też Zakopane stało się miejscowością uczęszczaną, lubianą, podziwianą, leczącą z chorób piersiowych a wytwarzającą... umysłowe. Objawiła się bowiem osobnego rodzaju fiksacya zakopiańska. Kto nie umiał lub nie mógł naśladować Chałubińskiego w jego upodobaniach, starał się przynajmniej upodobnić do niego bezmyślnymi zachwytami. Ten unosił się nad mądrością, pięknością lub elegancyą górali, tamten kupował sobie ich „ciupagę,“ inny przenosił woń zatłuszczonej koszuli „bacy“ nad najrozkoszniejsze pachnidła, inny rozpływał się nad „kierbciami“ i „czuhą,“ inny zaręczał, że nie jadł nic smaczniejszego, niż podpłomyk owsiany; przebierano się w odzież górali, zwożono do Warszawy ich grzyby, umieszczano między kosztownymi sprzętami ich niezdarnie nożykiem wycinane przedmioty, opisywano ich, rzeźbiono, lepiono z gliny, malowano, a już nieśmiertelny Sabała tak zapełnił swoimi portretami wszystkie dziedziny sztuki, że Du Bois-Reymond zawołałby z większą jeszcze rozpaczą, niż z powodu Goethego: „Sabała und kein Ende“! Jak zakopianin wygląda, jak mówi, krowy pasie i podróżnych oprowadza, śmieje się, płacze, kicha, co je, pije, baje — wszystko wiemy.

Zdawało się, że już nam nic do zbadania i uwiecznienia nie pozostaje — tymczasem w naszej wiedzy była luka: nie zastanowiliśmy się, jak on mieszka, jak jest znakomitym i oryginalnym budowniczym. Już p. Witkiewicz w długiej i zajadłej polemice z pp. Gersonem i Meyetem (w *Kuryerze warszawskim*) podniósł do wielkiego znaczenia motywy sztuki zakopiańskiej i jej odrębny „styl,“ którego dotychczas nie umiano ani należycie uczcić, ani artystycznie wyzyskać, a który zasługuje na adoracyę. Te zresztą dość ogólnikowe napomknienia i zachwyty postanowił uzasadnić i szeroko rozwinąć dr. Matlakowski — i oto mamy świeżo wydane *Budownictwo ludowe na Podhalu* — książkę objaśniającą nam wdzięki i tajemnice tego „stylu“ oraz 20 kilka tablic z najszczegółowszymi rysunkami chałup, stodoł, bali, węglów, drzwi, okien, progów itd. Wydawnictwo, kosztujące zapewne kilka tysięcy złr. wyszło nakładem krakowskiej Akademii Umiejętności. Chociaż dr. M. narzeka, że praca jego „chroma niezupełnem wykończeniem i niedostatecznem wżyciem w byt górali,“ nie sądzę, ażeby dzieła najgenialniejszych architektów świata przedstawiono tak drobiazgowo w tekście i rysunkach, wątpię, ażeby bazylika św. Piotra lub katedra kolońska doczekały się podobnego zaszczytu, jak chałupy Tatara lub Skobla. Każda niemal wybitniejsza chata, każda przy niej zagródka, każda kreska, ścięcie i nacięcie, każda dziura i rowek zostały wiernie skopiowane w osobnych wizerunkach. To już nie estetyczne badanie, ale religijny kult. Nie przeczę, że budownictwo ludowe na Podhalu ma pewne swoje właściwe cechy, mniemam jednak, że dla uwydatnienia ich wystarczyłoby kilka ilustracyj i artykulików w *Wiśle*. Czytelnik, niesfanatyzowany nadmiernem zamiłowaniem dla tych pierwocin architektury i tych robót zwykłej chłopskiej ciesielki i przejrzawszy książkę dr. M., jej wspaniale odbite tablice, poprostu uczuwa zdumienie wobec tego przecenionego ubóstwa nazwanego wielkiem bogactwem. Podobnych „stylów“ i arcydzieł możnaby znaleźć prawie tyle, ile jest okolic a po rozmaitych kątach kraju dałoby się odszukać wiele chałup, obór i chlewków tejże samej wartości i oryginalności architektonicznej, co zakopiańskie. Skąd więc to odznaczenie?

Jeżeli pewien układ zrębu lub dachu, pewne nacięcia nad drzwiami, pewna forma komina, chociażby najprostsze, zasługują na miano osobnego „stylu,“ to niewątpliwie podhalanie posiadają swój styl. Jeżeli zaś on wyprowadzony został na widownię estetyki tak uroczyście i postawiony tak wysoko, to tylko dzięki temu, że grono ludzi ukształconych, z żywym umysłem i gorącą fantazyą, skazanych na bezczynność a niemogących jej znieść, przebywa stale dla zdrowia w Zakopanem. Gdyby Matlakowski i Witkiewicz nie byli chorzy i nie musieli tam przemieszkiwać, prawdopodobnie nigdy nie słyszelibyśmy o stylu zakopiańskim a już niezawodnie nie mielibyśmy wytwornie tłoczonych dzieł i tablic, poświęconych „Budownictwu na Podhalu.“ Dla obu tych ludzi, dla ich szlachetnych i płomiennych dusz żywię szczerą sympatyę i szacunek, ale uczucia te nie zasłaniają mi ich fanatyzmu względem górali, który ciągle robi kroki, dzielące szczytność od śmieszności. To, co dr. Matlakowski napisał i wyrysował w swej pracy, lśni się wszystkiemi barwami przesady i należy do tych samych uwielbień, które wybuchają przy lada piosence chłopskiej. Trud pozosraje trudem, zapał — zapałem, dobra wola — dobrą wolą, gdziekolwiek i dlaczegokolwiek się objawiają. Dr. M. zużył na swe przedsięwzięcie i wiele trudów, i wiele zapału i wiele dobrej woli, które uszanować należy, ale czy je zrównoważył i opłacił skutek? Mojem zdaniem, stanowczo nie. Jak owe śpiewki, nowotwory językowe, pisanki, kilimki i inne objawy niemowlęcej produkcyi ludowej, tak też budowle podhalan są bądź skamienialościami niedorozwoju, bądź zaczątkami kultury, które nie mogą jeszcze rościć pretensyi do artyzmu. Nie myślę ich lekceważyć jako ogniw łańcucha rozwojowego i odmawiać im wartości jako materyału dla badań etnologicznych i historycznych, ale zarazem nie mogę w nich dostrzedz pomników sztuki, zasługujących na podziw, uwielbienie, obszerne rozprawy i wytworne tablice. I owsianym podpłomykiem zakopiańskim można głód zaspokoić, nie mniej wszakże jest on ciastem bardzo pierwotnem i niesmacznem, a w piekarstwie nie przedstawia osobnego i uroczego stylu.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Ruch przemysłowy. Ze wszystkich ognisk fabrycznych Królestwa Polskiego dochodzą wieści o niebywałem oddawna ożywieniu produkcyi. Obecnie, wbrew przyjętemu oddawna zwyczajowi, wszelkie zamówienia pobierane są gotówką, a ceny stosunkowo na wyższym stanęły poziomie, niż w roku zeszłym. Na rynku miejscowym gotówki jest sporo, a kredyt łatwiejszy, niż kiedykolwiek. Przypisują to przedewszystkiem niebywałemu dotąd współzawodnictwu pomiędzy filiami przeróżnych banków, kantorami bankierskimi itd. Skutkiem tego miejscowi fabrykanci korzystają z kredytu wekslowego krótkoterminowego i płacą tylko 6—7%, a nawet 5½%. Ruch w handlu również panuje wielki. Biura przewozowe i ekspedycyjne nie mogą podołać pracy i tylko handel zbożowy w tem ognisku fabrycznem — w uśpieniu; ceny niskie, kupców brak. W obrębie Kielc, Suchedniowa, Końskich i wogóle w ogniskach przemysłu żelaznego panuje także ogromne ożywienie i wzmaga się niemal

z każdym tygodniem. Trzydzieści zakładów górniczych okręgu wschodniego, znajdujących się przeważnie w rękach prywatnych, obarczono nawałem zamówień. Wszystkie zapasy w składach dawno już wyczerpano. Skutkiem tak pomyślnych warunków dla wytwórców, ceny żelaza w stosunku do zeszłorocznych podniosły się już do 20%. W Tomaszowie z powodu olbrzymiego zapytrzebowania fabryki sukienne musiały wprowadzić roboty nocne. Jednocześnie tu i owdzie powstają fabryki nowe. W Piotrkowie zaś huta szklana po długiej przerwie od nowego roku ponownie rozpocznie działalność pod kierownictwem dzierżawcy Häblera z Łodzi. Fabryka wyrabiać będzie przedewszystkiem szkło taflowe. Między innemi także nowe towarzystwo z kapitałem 500,000 rs. w 1000 akcyach po 500 rs. każda, zakłada cukrownię pod nazwą „Brześć kujawski.“

Bank włościański. Ze szczegółów, stale dostarczanych wyższej władzy przez oddziały Banku włościańskiego w Królestwie Polskiem, okazało się, że działalność tej instytucyi za mało jest rozwinięta. Doświadczenie dowiodło, iż główną przyczyną niepowodzenia są zbyt złożone formalności, wymagane od włościan i t. zw. mieszczan-rolników, chcących korzystać z pożyczek. Najważniejszem utrudnieniem jest żądanie zbyt wielkiej liczby dokumentów. Otóż dla ułatwienia uznano za możebne między innemi wyłączyć tymczasowo żądane dotychczas następujące dowody: 1) uchwały gromadzkie o należeniu kupujących grunty do stanu włościańskiego lub mieszczańsko-rolniczego; 2) świadectwa wójtów gmin i burmistrzów miast, wyjaśniające, do jakiego stanu osoby powyższe należą, jakiego są wyznania, tudzież że nie są wychodźcami zagranicznymi; 3) utworzone wyłącznie dla włościan i mieszczan-rolników wyznania prawosławnego świadectwa administratorów (proboszczów) parafii, że należą do wyznania prawosławnego. Papiery te powinny być złożone komisarzom do spraw włościańskich dla uzyskania zaświadczeń na prawo pożyczek, niezależnie od wykazów familijnych. Ministeryum przystało na wyłączenie owych dokumentów, z warunkiem, iżby zamieszczane w nich dawniej wiadomości wypisywane były w wykazach familijnych, przyczem do list postanowiono wprowadzić tylko dwie rubryki nowe: 1) o wyznaniu pożyczkobiorcy i 2) czy nie należy do liczby wychodźców zagranicznych. Co do pochodzenia, to rubryka obowiązujących obecnie wykazów familijnych obejmuje odpowiedni nagłówek. Wypełnianie dwóch nowozatwierdzonych rubryk będzie obowiązkiem wójtów gmin i burmistrzów na zasadzie danych w księgach meldunkowych i służących dla nich dowodów.

Bank państwa. Wkrótce ta wieloramienna instytucya rozrośnie się szerzej i bardziej uprzystępniona będzie dla posiłkujących się kredytem, szczególnie w celach handlowych. Utworzono już przy ministeryum skarbu komisyę, której przewodniczy p. Witte. W skład jej wchodzi ogółem osób 30. Pomiędzy innemi opracowana będzie ustawa o otwieraniu filij Banku przy wszystkich oddziałach kasy państwa. Jako miejscowości najbardziej się nadające do otwierania nowych oddziałów, wymieniają: Berdyczów, Brześć Litewski, Elizawetgrad, Symferopol i wiele innych. Nadto w większych osadach powstaną oddziały pomocnicze (*bureaux auxiliaires*), na wzór takich instytucyj Banku francuskiego. Prace komisyi rozpoczną się 27 b. m., posiedzenia odbywać się mają dwa razy tygodniowo.

Piwo. Już od 13 listopada akcyza od tego trunku będzie zwiększona z 20 do 30 kop. od objętości kadzi zaciernej. Według przybliżonego obliczenia, wzrost tego podatku zapewni skarbowi 2,500,000 rs. rocznego dochodu. Podobno podniesienie opłaty nie wywrze wielkiego wpływu na zdrożenie piwa; cena butelki lepszego gatunku zdrożeje o 1/2 kop., niższego o 1/3 k. Nowy podatek ma na celu odpowiednie unormowanie pomiędzy akcyzą spirytusu i piwa. Obecnie od spirytusu pobierane jest 9 1/4 kop. od stopnia; piwo, zawierające 4 stopnie alkoholu, opłaca tylko 3—5 kop., przy nowem zaś opodatkowaniu — 7 kop., co jeszcze nie odpowie podatkowi, pobieranemu od spirytusu.

— Dla zbadania przyczyn obecnego przesilenia w przemyśle cukrowniczym, ministeryum skarbu wydelegowało na południe urzędnika do szczególnych poruczeń, rz. r. st. Bazylewskiego.

— W ostatnich dniach znacznie się powiększył handel wywozowy gęsi za granicę. Przez Sosnowice i Aleksandrów w ciągu czterech dni wyprawiono 6,500 sztuk.

— Obecną liczbę inspektorów podatkowych postanowiono zwiększyć o 111 nowych posad. (Ogółem będzie 611).

— W tych dniach wypuszczone będą w obieg nowe listy zastawne Towarzystwa kredytowego m. Łodzi na sumę rs. 280,000. Z tego powodu spodziewane jest znaczne ożywienie na giełdzie.

— Inspekcya fabryczna gorliwie jest zajęta dopełnianiem listy techników i wyższych pracowników fabrycznych obcokrajowców w okręgu łódzkim, którzy powinni stanowczo z dn. 13 stycznia r. p. opuścić miejsca zajmowane, jeżeli do tego terminu nie będą władać biegle językiem ruskim lub polskim.

— Wobec podrożenia w ostatnich czasach fosforu białego za granicą prawie o 40%, komisyonerstwo hamburskie, zajmujące się zbytem towarów ruskich, zwróciło się do komitetu Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w Petersburgu z prośbą o wskazanie fabryk, któreby mogłyby się podjąć dostarczania tego materyału.

— Najwyżej zatwierdzone dnia 9 marca przepisy o nadzorze i porządku w zakładach górniczych Królestwa Polskiego, tudzież o warunkach najmu robotników, dn. 13 b. m. wchodzą w wykonanie. Przepisy powyższe w kopalniach i zakładach Rosyi południowej obowiązują już od 27 września r. b.

Z rynku.

Targi warszawskie. *Magazyny tranzytowe* na Pradze. Pszenica biała 105—107 kop. (za pud), szklista 106—108, wilgotna i smolna 95—102. Popyt słaby. Żyto: ciężkie 86—88 k., lżejsze 84—85, wilgotne 82—83 k. Zapotrzebowanie znaczne. Owies: krajowy 84—97 k., ruski biały ciężki 95—97, lżejszy i żółtawy 83—91, obsadny i pstry 78—81. Popyt średni. Jęczmień krajowy browarny 86—95 k., ruski 83—80, na paszę 72—76 k. Zapotrzebowanie średnie. Groch nie miał wcale popytu. Gryka 95—100 k. Kasza jaglana 98—105 kop. *Plac Witkowskiego.* Płacono z dostawą do składu nabywcy za korzec: pszenica pstra i dobra 6,25, biała 6,40—6-45, wyborowa 6,55—6,60. Żyto wyborowe 505—5,25. Owies 2,85—3,30.

Ceny zboża na prowincyi. W gub. kaliskiej (podług notowań urzędowych): Żyta czetw. 6,96, pszenicy 9,62, jęczmienna 7,37, owsa pud 80 k., kartofli czetw. 1,96, kaszy jęczmiennej rs. 12, gryczanej rs. 15 k. 20. Mąki żytniej razowej czetw. 6,20, funt chleba pytlowego k. 3, razowego 2, siana pud k. 38, słomy 20. *W gub. radomskiej:* Pszenicy czetw. 10,56 1/4, żyta 6,90 1/2, jęczmienia 5,27 1/4, owsa 4,67 1/2, gryki 7,47 1/2, grochu 9,75, kartofli 2,84 1/2 (ogromna różnica w porównaniu z ceną w kaliskiej), mąki pszennej lepszego gatunku pud 2,40, pośledniego 1,60, żytniej pytlowej 1,20, zwyczajnej 90 k., kaszy jęczmiennej czetw. rs. 80, gryczanej 12, siana pud 35 k., słomy 25.

— Zapasy zboża w całem państwie według danych urzędowych wynoszą obecnie 9,134,500 pudów, z czego pszenicy starej 2,080,000, nowej 1,700,000, girki 2,300,000, jęczmienia 1,120,000, kukurydzy i innych gatunków 1,210,000 p.

Okowita. Hurtowa w. 100° brutto z potr. 2% 11,04, netto bez potr. 10,83, wiad. 78° brutto z potr. 8,61, n. bez potr. 8,44. Szynkowa wiad. 100° brutto z potr. 2% 11,19, n. bez potr. 10,98, w. 78° br. z potr. 8,72 n. bez potr. 8,56.

KRONIKA.

Sara Bernhardt, występująca w teatrze nasym, może istotnie powiedzieć o warszawie: *la donna e mobile.* Za poprzedniej jej bytności publiczność rozchwytywała bilety i wpadała w spazmy zachwytu, podczas gdy krytyka oblewała ją zimną wodą, teraz krytyka spazmuje a publiczność ją trzeźwi. Ci sami sprawozdawcy, którzy wówczas niemal wygwizdywali „żydówkę,“ teraz są przez nią unoszeni w „wyższe sfery sztuki,“ w „dziedzinę ideału.“ Rzecz zaiste dziwna, najkapryśniejszą z kobiet przewyższyła w kaprysach nasza sławna, gadana i pisana opinia. Kto dłużej obserwuje jej zmienne gusty, fantazye, obrzucania błotem i wynoszenia pod niebiosa, ten doprawdy może powiedzieć: kiedy ty przyjdziesz do równowagi, stara histeryczko!

Co do samej Sary, gra ona role w *Damie kameliowej, Joannie d'Arc, Kleopatrze* itd. po większej części u nas znane. Nowością tylko był dramat Sardou *Tosca*, robota czysto aktorska i po za tem przeznaczeniem niemająca prawie żadnej wartości. Że artystka francuska jest aktorką znakomitą — wiadomo; ale żeby za każdym jej przyjazdem zwijać ten sam bukiet zwietrzałych dla niej pochwał i podawać go czytelnikom — to wydaje nam się zbyt nudnem. Czyż nie?

Sprawy społeczne. Płaca inspektorów urzędów lekarskich będzie stopniowo podnoszona we wszystkich guberniach. W r. b. na cel powyższy proponowane jest użycie 97,000 rs., następnie zaś z każdym rokiem więcej.

— Pod nr. 44 na Nowym-Swiecie otwarto czytelnię dla dzieci, zaopatrzoną we wszelkie wydawnictwa odpowiednie.

— W Warszawie na placach Grzybowskim, Mirowskim i na Szerokim Dunaju otwarto baraki dla robotników, wyrobników i w ogóle dla ubogich, z urządzeniem w nich tanich garkuchni i herbaciarni, które powierzono osobom prywatnym, z warunkiem, aby obowiązkowo sprzedawały posiłek po cenach ustanowionych dla innych tego rodzaju baraków i aby czas sprzedaży był stosowany do trybu życia ubogiej ludności.

— Zarząd Towarzystwa subjektów handlowych i przemysłowych m. Warszawy, któremu na ogólnem zebraniu rocznem powierzono ostateczne załatwienie sprawy wypoczynku niedzielnego według swego uznania, tworzy komisyę specyalną, do której w tym celu zaprosi wybitniejszych kupców i przemysłowców tudzież inne osoby.

— Właściciele fabryk w okolicach Warszawy, niezależnie od zaprowadzenia w swoich zakładach przyrządów ratunkowych na wypadek pożaru, wyrażają gotowość składania pewnych stałych i określonych kwot corocznie na powiększenie personelu straży, z tym warunkiem, ażeby im wolno było korzystać z pomocy ratunkowej.

— W Wiedniu obliczono, iż jest obecnie 70,000 robotników przeważnie z gałęzi budowlanej, nie mających żadnego zajęcia. Również smutne jest położenie drobnych rękodzieł, tudzież wszystkich procederów, podtrzymywanych przez warstwy robotnicze. Skutkiem tego czynione są w izbie handlowej zabiegi, ażeby roboty około budowli publicznych (koleje, kanały, koszary) przyśpieszono, gdyż inaczej wzrośnie niebezpieczeństwo zaburzeń socyalnych.

— Sąd przysięgłych we Lwowie skazał na roczne więzienie listonosza Wieliczkę, który sprzeniewierzył listy pieniężne na sumę przeszło 1000 złr. Powodem była nędza. Utrzymywać musiał żonę i dzieci z nędznej płacy.

Dobroczynność publiczna. Otworzono tanią kuchnię dla mieszkańców Radomia. Stołownicy przeważnie są żebracy. Kuchnia wydawać będzie bezpłatne pożywienie najbiedniejszym.

— W Warszawie wydawanie herbaty bezpłatnej z winem czerwonem i pieczywem w lokalu zupy rumfordzkiej z dzielnicy Nowego Miasta zwiększono do 250 porcyi dziennie.

— Od osoby ukrywającej swe nazwisko otrzymano 5,000 rs. na budowę przytułków noclegowych w Warszawie. Wogóle od 13 września r. b. na cel powyższy wpłynęło 7,272 rs. 3 kop., na budowę baraków — 3,959 rs.

— W Łomży otwarto przytułek dla starców i kalek.

Szkoły. W zimie otwarta będzie szkoła piwowarów w Petersburgu, z dwuletnim kursem praktycznym.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratorów okręgów naukowych, że prawa, służące nauczycielom rysunków w gimnazyach i progimnazyach męzkich stosują się również do nauczycieli tych samych przedmiotów w gimnazyach i progimnazyach żeńskich.

— Ożywienie w galicyjskich szkołach ludowych wzmogło się w ostatnich ośmiu latach. Przybyło w tym okresie o 112,927 dzieci więcej. W Galicyi 2,340 gmin administracyjnych nie posiada wcale szkół, pomimo iż jest bardzo znaczna liczba dzieci, wymagających oświaty. Podobno brakowi temu ma zaradzić utworzenie funduszu pożyczkowego na budowę szkół (w 200 gminach).

— W lwowskiej szkole politechnicznej wakuje posada asystenta przy katedrze mechaniki teoretycznej i teoryi maszyn z płacą 600 złr. Konkurs do 17 listopada.

Zdrowie publiczne. Niezależnie od rewizyi sanitarnej w warszawskich zakładach spożywczych (restauracyach, kawiarniach, sklepach itp.) będą dokonywane rozbiory owych produktów. W tym celu rewidujący wezmą pewną potrzebną ilość artykułów stałych lub płynów i odeślą do pracowni rozbiorowej miejskiej. W razie wykrycia zafałszowań winni będą pociągani do odpowiedzialności sądowej. Ten sposób analizy doradzaliśmy właśnie przed paru tygodniami na łamach *Prawdy* w artykule p. t. „Walka z fałszerstwem."

— Z powodu szkodliwej wody w studniach sochaczewskich powstał wniosek urządzenia tam wodociągów za pośrednictwem przeprowadzenia rur ze źródeł znajdujących się nieopodal miasta.

— Z powodu projektowanego obsadzenia w szpitalnych oddziałach żeńskich posad felczerskich kobietami, departament lekarski zwrócił się do tutejszych urzędów właściwych o nadesłanie szczegółów w zakresie uposażenia i czynności felczerów, zajętych w owych oddziałach. Jednocześnie z wprowadzeniem projektu w czyn powstanie kilka szkół felczerskich dla kobiet, między innemi jedna w Warszawie.

— Położono silny nacisk na konieczność doprowadzenia do porządku zdrowotnego wszystkich szkół elementarnych w Warszawie.

— W osadzie fabrycznej Zduńska Wola (pow. sieradzki) trzej fabrykanci miejscowi urządzili wspólnym kosztem (za 1500 rs.) barak dla pomieszczenia chorych w razie ukazania się cholery.

— W Krakowie od chwili ukazania się cholery zachorowało 46 osób, zmarło 24. W ostatnich dniach nie zaszedł tam ani jeden wypadek epidemii.

Sprawy kolejowe. Z dn. 1 czerwca r. p. skarb państwa przystąpi do stopniowego wykupu kolei Południowo-Zachodnich.

— Towarzystwo kolei Południowo-Zachodnich opracowywa plan szeregu nowych linii. Najpierwsza będzie odnoga od stacyi Browki przez Andruszówkę, Iwanków i Kotelnię do Żytomierza. Od Kotelni pójdzie inna linia do Korostyszewa i Radomyśla, najzapadlejszych kątów Polesia kijowskiego. Budowa tej gałęzi ma na celu połączenie trzech cukrowni i eksploatacya ogromnych lasów w pow. radomyskim tudzież północnej części gub. wołyńskiej. Następnie wybudowana będzie kolej pograniczna od Zdołbunowa przez Proskurów i Kamieniec, Zargę i Korneszty. Linia ta ma tworzyć punkt wyjścia dla nowej kolei łączącej się z zagranicznemi, a mianowicie do Husiatyna (komora celna w gub. podolskiej), Leowa (przystań na Prucie) i Izmaiły (przystań na Dunaju). Koszt budowy obliczony jest w przybliżeniu na 30 milionów rs. Do projektu przeprowadzenia owych kolei skłonił towarzystwo ten wzgląd, iż liczne ładunki, przewożone z Królestwa Polskiego do prowincyi południowo-zachodnich, idą dziś *transito* przez Austryę.

Zmarli. Ejsmont, b. dyrektor Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej-Aleksandryi.

— Wacław Sadkowski, w Warszawie, współpracownik pism codziennych.

— Anna Karolina Edgren w Neapolu; powieściopisarka szwedzka. Kierunek jej twórczości był wybitnie realistyczny.

— Filip Grotjohan w Düsseldorfie. Znany ilustrator. Ozdobił swym ołówkiem najpiękniejsze wydanie Goethego, Szylera, Shakespeare'a, Walter-Skota i in. Najwybitniejsze są jego ilustracye do *Księgi pieśni* Heinego.

— Alfred Michiels w Paryżu, bibliotekarz szkoły sztuk pięknych, autor wielu dzieł, między innemi Historyi malarstwa flamandzkiego.

— Prof. Bernard Windtscheid w Lipsku, słynny badacz w zakresie prawa rzymskiego. Był profesorem w Bonn, Bazylei, Gryfii, Monachium i Lipsku. Z wybitniejszych jego prac na uwagę zasługują: „O kodeksie Napoleona i zapatrywaniach jego na nieważność interesów prawniczych," „O akcyi cywilnego prawa rzymskiego z punktu widzenia prawa dzisiejszego."

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Ценаурою, Варшава 23 Октября 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**